

44145

44146

[1-2]



**PODRÓŻ POLKI DO PERSYI.**





MARYA RATULD - RAKOWSKA.

---

# Podróż Polki do Persyi.

Z PRZEDMOWĄ

T. JAROSZYŃSKIEGO.

Z ilustracyami.

Część II.

WARSZAWA

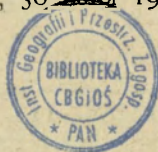
DRUKARNIA

ALEKSANDRA TAD. JEZERSKIEGO

47. Nowy - Świat 47.

<http://rcin.org.pl>

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 30 ~~Тюня~~ 1904 года.



ИЧ. 146 [2]

## VIII.

Turki i Farsi.—Kurdowie i Bachtyari —Parę słów o armii.—  
Wybitne cechy charakteru narodowego. — Uprawa gruntu  
i przemysł. — Fauna i flora. — Klimat.

Iran zamieszkują dwa odmienne plemiona, złączone jednością religii, stanowiącej wielki odłam Islamu. Na północo-zachodzie kraju, a więc w prowincyi Azerbajdżanu i w perskim Kurdżystanie, osiadły narody pochodzenia turańskiego, potomkowie Medów, noszący ogólne miano „Turki.” Południe i środek zamieszkali „Farsi” lub „Parsi” od południowej prowincyi Farsistanu, mającej za stolicę Sziraz. Język „Farsi” jest językiem sfer ukształconych całego kraju. Rozprawiwały już w nim wszystkie arystokratyczne hanum w Khoj, które niezmiennie witały mnie frazesem: „Farsi midanid?”<sup>1)</sup>, naiwnie zdumione mą nieświadomością. I jakkolwiek panująca od lat dwustu (1705 r.) dynastia Ka-dżarów jest pochodzenia „Turki,” jakkolwiek na dworze Agi-Mohammed-Khana, pierwszego króla

---

<sup>1)</sup> Czy znasz Farsi?

tej dynastyi, mówiono twardym turecko-tatarskim żargonem, stanowiącym narzecze prowincyi północnych—obecnie „Farsi” wyrugował go z użycia całkowicie.

„Farsi” jest językiem nauki, literatury, poezyi i językiem Saadiego, Hafiza i Firduziego <sup>1)</sup>, który w tej mowie opiewa sławę królów, bohaterskie czyny „Rustema” <sup>2)</sup>, jego zwycięstwa nad wielkim białym dziwem (dyabeł-diw) i piękność kobiet o twarzy księżycowo rozlanej. Takim bowiem był ideał piękna wielkiego poety.

W ogólnej liczbie ludności Persyi, wynoszącej więcej niż 8 milionów, trzecia niemal część przypada na koczownicze plemiona „Illiatów,” przeważnie irańskiego pochodzenia, jak Kurdowie i „Bachtjari.”

Kurdowie, podlegli królowi królów, równie są niesforni i nieokiełznani, jak lennicy czerwonego sułtana Abdul-Hamida! Buntowniczych ich Khanów wciąż wzywają do stolicy, aby tłómaczyli się przed władzami ze swych postępów; nie zawsze jednak zjawiać się raczą.

Wystarczy spojrzeć na zawadyackiego Kurda, jadącego na ognistym arabskim rumaku, obwieszo-

<sup>1)</sup> Firduzi, najwięcej popularny i słynny, dawny poeta, autor „Szah-Namek” — Historii królów (940—1020 r.) 125.000 wierszy. Sadi, autor „Gulistanu”, czyli „Ogrodu róż” (1184—1191), urodzony i pochowany w Szirazie. — Hafiz, poeta, urodzony w Szirazie (1320—1391).

<sup>2)</sup> „Rustem”, bohater legend ludowych, jak Herkules grecki.



nego bronią, by zrozumieć, że ta buńczuczna postać, od której bije zuchwałość i samowola, nie uchyli się przed żadną przewagą.

„Bachtyari” — wojownicze także plemię, rozsiadło się głównie w Laristanie, prowincyi południowo-zachodniej, nad zatoką Perską. Niektórzy z historyków przypuszczają, że są to potomkowie dawnych mieszkańców starożytnej Baktoryany. Język ich przypomina dawną mowę Persów, od których różnią się wszakże zupełnie w obyczajach.

Podróżnik z początku XIX-go wieku, Jacques Morier, tak naprzykład opisuje ich obrządki pogrzebowe:

Naokół grobu tańczą i śpiewają przy monotonych i głuchych dźwiękach muzyki. Jeśli zaś zmarły zginął na wojnie, zapalą taneczne wzrastają w dwójnasób, śpiewy brzmią wesołą nutą; śmierć bowiem na polu bitwy jest w ich przekonaniu śmiercią sprawiedliwych.

Zatargi „Bachtyari” z władzami są częste, khanowie ich płacą nieraz głową za bunt i opór. Obecnie ucichli pod żelazną dłoń gubernatora prowincyj południowych, Zille-Sultana (brata Muzafer-Eddina), najenergiczniejszego człowieka. Dowódcy Nomadów wolą unikać jego gniewu, który bywa straszny i bezwzględny.

Nie należy przypuszczać, że Nomadowie snują się w ciągłym ruchu po drogach Iranu. W dawnych czasach pędzili rzeczywiście żywot prawie wyłącznie koczowniczy. Teraz zajmują się wszyscy niemal uprawą roli, budują lepianki, gromadzą je w wioski. W lepiankach tych mieszkają zimą, ob-

rabiając ziemię, a gdy latem zbiorą zasiewy, wyruszają ze stadami w góry, stale w te same zakątki, w których z ojca na syna od lat dziesiątków trzydy swe pasą.

. . . . .

Turki i Farsi różnią się charakterem i usposobieniem.

Ocieężałość umysłu kojarzy się u Turki z prostotą i szczerością; z krwią przodków dalekich przejęli pewną odwagę.

Opłakana armia perska pomiędzy nimi rekrutuje przeważnie swych żołnierzy, których waleczność większą jest od służbistości. Wojaków tych, przybyłych z Azerbajdżanu do stolicy lub innego miasta ująć trzeba w surowe karby dyscypliny, by zaczęli zdawać sobie niejasno sprawę ze swych obowiązków i pojęli, że powinni strzedz pokoju, zamiast niecić nieporządku. Jednakże prawdziwa karność wojskowa nie da się nigdy zaszcześcić w tych mózgach.

Na utrzymanie armii, której cyfry nominalne przedstawiają 40,000 piechoty, 30,000 kawaleryi i 5,000 artyleryi, obracana jest znaczna część dochodów korony. Lecz pieniądze, przechodząc przez liczne a łapczywe ręce ministrów, generałów — od których się w Persyi roi — pułkowników i niższych oficerów, w mgłę się rozwiewają, nim dojdą do żołnierza. Zrzadka ogląda on nędzną swą pensję, a rząd—jak już mówiłam poprzednio—nie daje mu ani chleba ani schronienia. To też po za godzi-



Dziewczyny kurdyjskie idące po wodę.

<http://rcin.org.pl>

nami służby, zajmuje się biedak rozmaitemi przemyślaniami. Tu sprzedaje chleb, tam owoce, najchętniej zaś zamienia srebrną monetę na miedziane szaki, pobierając od tej operacji finansowej dość wysoki procent.

Stanowisko bankiera, choćby ulicznego, rozkładającego cały swój majątek na zdartej szmacie, lub starej skrzynce, ciągnie go magnetycznie.

Ubranie jego codzienne jest szczytem brudu i niechlujstwa.

Z pod zbutwiałych gałganów, świecących gdziegdzie metalowemi guzikami, wygląda koszula, której pierwotnej barwy nikt określić nie zdoła; na nogach człapie się naśladowanie łapci, z których wygląda bosa — mimo paradyi skarpetek — stopa.

W dni mustry i świąt uroczystych, w dni przeglądu wojsk przez Naieb-Saltaneh lub szacha, żołnierze wdziewiają czerwone mundury, w których wyglądają prawie czysto.

W jaki sposób wywiązują się z ćwiczeń wojskowych—nie wiem tego dokładnie. Sądzę wszakże, że instruktorzy europejscy na marne tracą swój czas i zużywają energię.

. . . . .

Turki przedstawiają, problematyczną może nieco, lecz w każdym razie jedyną siłę fizyczną organizmu narodowego, Farsi są jego mózgiem. Umysł mają bystry, obejmujący łatwo, ale nie pogłębiający przedmiotu. Uczą się wszystkiego nie-



słychanie prędko, nie przetrawiają jednak zdobytej wiedzy. Asymilują sobie jej stronę powierzchowną, zachowując z niej to, co błyszczący, czem mogą olśnić. Odrzucają wszystko, co treść jej wewnętrzzną stanowi. Lubią robić „tamasza”<sup>1)</sup> z swych wiadomości, jak dellale z swych skarbów.

Próżność ich i zarozumiałość jest niebotyczną. Tak samo, jak z pochwyconych gdzieś słabych światła wiedzy, chełpią się z bogactwa, z koligacyi, z tytułów.

Gdy opowiadać zacząć o swych przodkach, każdy z nich ród swój wie z jakichś „Szahzadek” (książęta krwi królewskiej), lub z Kadżarów, którym, jak u nas Augustowi Mocnemu, wiele przypisywać można. Bowiem wogóle, prócz Muzaffer-Eddina, człowieka obyczajów spokojnych, obchodzącego się kilku żonami, szachowie tej dynastyi „enderumy” mieli zapełnione pokąźnie. A słynny Fet-Ali-Szah (1797—1834), król czarnobrody, którego postać uwieczniają ściany pałaców, mozaiki bram, miniatury, malowidła kalemdanów (piórniki), kalemkorów (płótna) i skrzynek—posiadał kolekcję 700 małżonek, które dały mu 600 sztuk potomstwa.

Rozmnażając się w skromniejszych niż wielki ojciec rozmiarach, potomstwo to dorosło jednakże do niezłej już cyfry 5,000 osobników. Nie trudno więc Persowi z Kadżarów w prostej linii legitymować się, lub choć bokiem do nich się przygarnąć.

Uważają się też „Irani” za najstarszy naród

---

<sup>1)</sup> Pokaz—wystawa.

świata i cywilizacji. Ich instytucje społeczne i państwowe są nieskończenie wyższe od odpowiednich instytucji Frangistanu; ich „Medresze” to najpierwsze szkoły obu półkuli; ich poezja żadna inna nie dorówna — z niej jeszcze bezwzględnie ciągną najszlachetniejszą chwałę. Król ich jest najpotężniejszym z monarchów ziemi: to „biegun wszechświata i jego bożyszcze, studnia wiedzy, pierwszy szczyt drabiny niebieskiej, monarcha, którego armie liczniejsze są niż gwiazdy na niebie i piaski w morzu, król królów i cień Boga.” Czem zresztą nie jest on w ich przesadnie napuszonych określeniach?

Nigdy nie zapomnę pewnej okoliczności, w której mogłam po raz pierwszy osądzić naiwną zarozumiałość i pewność siebie synów Iranu. Działo się to nie w Persyi, lecz jeszcze w Paryżu, na wielkim raucie, wobec przynajmniej trzystu osób.

W różnorodnym tłumie gości, przeważnie złożonym z przedstawicieli świata lekarskiego, kołatało się kilku Persów, którzy ukończywszy studia medyczne w teherańskim *Collège Impérial*, przyjechali na uzupełnienie ich do Paryża.

Na raucie popisywali się wirtuozi fortepianu i jacy wirtuozi: grał Paderewski, po nim — znana pianistka, pani Roger-Miclos. Kto więcej — nie pamiętam, w każdym razie artyści niepośledniej miary.

Nagle zbliża się do gospodarza domu jeden z młodych Persów, oświadczając, że on również biegłym jest wykonawcą i chce zagrać zgromadzeniu kilka perskich melodyi.

— Czy to być może? Ależ to doskonale!

Nieopatrznie sadzają go przy instrumencie, uznajmiając, że dr. Szeik-Mohammed zgodził się uprzejmie zapoznać nas z popularnymi motywami swej ojczyzny. I w ciszy salonu rozlega się wystukiwana jednym palcem, monotonna jak szmer wody, nuta perskiej piosenki.

Wysłuchawszy ją raz, obiecujący wiele filar medycyny perskiej powtórzył ją raz drugi, trzeci, czwarty... i nie wiem już wiele razy, bo — wraz z całym towarzystwem — walczyłam z duszącym mnie śmiechem.

Szczęściem gospodarze, dziękując Persowi i dając hasło do oklasków, zakończyli komedię, a wirtuoz z bożej łaski z miną głębokiego zadowolenia powstał od fortepianu.

Nie dosyć na tem.

W parę dni później, u mnie, wobec kilku osób opowiadał z twarzą rozpromienioną o swym tryumfie. Zaproponował nam przytem, iż zagra *d'autres morceaux, encore plus beaux*. I nim zdążyłam znaleźć jakiś zręczny frazes i oszczędzić mym gościom tej rozkoszy — Szeik Mohammed siedział już przy fortepianie, stukając jednym palcem *d'autres morceaux, encore plus beaux*.

Bezczelna pewność jego nie jest bynajmniej wyjątkową. Dzieli ją ze wszystkimi niemal swymi rodakami. A ogólnie biorąc, jest jednym z najwięcej inteligentnych z pomiędzy znanych mi Persów. Ani więcej próżny, ani więcej zarozumiały od innych — znakomicie kieruje swą barką życiową. Był faworytem wielkiego wezyra, nie zdziwię się bynajmniej, jeżeli zostanie ministrem.



Synowie dawnego Iranu słynełi jakoby — jest to opinia Herodota — ze swej prawdomównosci i z mistrzowskiego strzelania z łuku. Nie wiem jak dzieje się obecnie z łukiem. Odwaga bowiem dzisiejszych Persów w niczem odwagi lwów Farsu <sup>1)</sup> nie przypomina. Zresztą i lwy wyginęły i stają się mytem.

Co się tyczy prawdomównosci—samo posądzenie o nią Persów mogłoby wyglądać na zjadliwą ironię. Prawda nigdy na ustach ich nie wykwita. Potrzebą ich natury jest mijanie się z nią na każdym kroku, kłamstwo dla kłamstwa, jak sztuka dla sztuki. Potrzeba ta pozostaje zresztą w ścisłym związku z niezwykłą przesadnością umysłu, rozdmuchującego drobiazgi do rozmiarów olbrzymich, i z wrodzonym również zamiłowaniem do pochlebstwa.

Te wady, przykre niezawodnie w bliższych stosunkach, nic nie ujmują zewnętrznemu wdziękowi ich obejścia, potęgują go nawet. Pers mówi dużo, ładnie, pełnemi obrazami. Lecz człowiek, który w stosunku z nim zapomina, że piękne frazesy są efektami retoryki, skazany będzie na smutne zawody i rozczarowania.

Szanujący się Pers przy pierwszym zetknięciu z kimkolwiek zasypie go powodzią komplementów i ofiaruje mu w potoku słów miodypłynnych swój dom ze wszystkim, co tenże zawiera, swe stosunki, swe wpływy — niebotyczne, oczywiście, jak szczyty

---

<sup>1)</sup> Lwy bezgrzywe, spotykane jeszcze z rzadka w prowincyi Farsistanu.



Demawendu. Wszystko, co doń należy, jest *male szuma*, co już miałam sposobność zaznaczyć wyżej.

Nie przypominam sobie jednakże, aby którykolwiek umiał obietnic dotrzymywać, o ile mu się o nich wciąż nie przypomina i nie stoi przed oczyma żywym wyrzutem, nie zadręcza go natrętnie.

Nie są to moje tylko osobiste spostrzeżenia. Potwierdzają je wszyscy bez wyjątku dawni i dzisiejsi podróżnicy, wszyscy europejczycy, pozostający z Persami w styczności.

Chardin niejednokrotnie rozwodzi się obszernie nad skłonnością ich do przesady i pochlebstwa, nad ich nieprawdomównością i brakiem poszanowania dla danego słowa. Jacques Morier uważa, że Persi poczytują praktykowanie pochlebstwa na kolosalną skalę za elementarny obowiązek grzeczności.

Trzeba więc, obcując z nimi, pamiętać, że słowa służą do zamaskowania myśli i nie wymagać od nich przymiotów, których odmówiła im natura. Wtedy wdzięk, uprzejmość i wytworność ich zachowania sympatyczne pozostawiają wrażenie.

Zdarzają się jednak wyjątkowo między nimi ludzie skromni, a pełni zalet gruntownych, pracujący wytrwale dla dobra publicznego i poważnie wykształceni.

Każdy, kto przebył czas jakiś w Teheranie, poznał ludzi i stosunki, postawi niezaprzeczenie na pierwszym miejscu w ich rządzie zmarłego przed kilku laty ministra oświaty, Mohbere-Dowlé i czterech jego synów.

Synowie ci pobierali wszyscy nauki w niemieckich uniwersytetach, mają prawdziwą wiedzę i z nią się nie popisują. Znaczną część wielkiego majątku poświęcają na cele publiczne, nie zrażają się niezliczonymi trudnościami, jakie w swym kraju spotyka na każdym kroku Pers, pragnący zbudzić swych braci z martwoty i apatyi.

Lecz Persya szybkim krokiem dąży do upadku. Właściwiej byłoby powiedzieć, że jest w nim pogrążona beznadziejnie. Wątpię też, czy dobra wola kilku jednostek i ich wytrwały wysiłek zdolają coś przeciw niezmierzonej mocy inercyi i застоju.

. . . . .

Obszar Persyi przewyższa obszar Francyi, a zaludnienie jej jest stosunkowo 15 razy mniejsze. Pod uprawę idzie zaledwie pięćdziesiąta część gruntu. Zapasów zboża ani ryżu niema nigdy i być nie może. Gdy przychodzą złe zbiory, głód w ślad za niemi kroczy, dziesiątkując ludność. W roku 1861 nawiedził kraj cały. Powrócił w r. 1871 — 1872. W mieście Meszedzie 80,000 ludzi zmarło w owej epoce śmiercią głodową.

Dawni mieszkańcy Iranu uważali uprawę gruntu za jeden z obowiązków religii, to też kraj pokryty był szeroko rozgałęzioną siecią kanałów, roznoszących ziemi wodę, na którą natura dziwnie tu jest skąpa, a którą z wielkim mozolem i ciężkim trudem z gór sprowadzać trzeba. Upusty kanałów otwierane zostają w określonych odstępach czasu na dzień cały. Woda rozlewa się po polach i ogrodach, przesycając grunt należycie. System ten uży-

zniania, dający jaknajlepsze rezultaty, jest, niestety, całkowicie dziś zapuszczony na wielkich przestrzeniach kraju.

Persya biedna jest w rzeki. Jedna z nich zaledwie, Harun, wpadająca do Szatel Arabu, uchodzić może za spławną i posiada wodę w każdej porze roku. Wszystkie inne, jak Sefid-rud (biała rzeka), dopływ jej Szach-rud i różne pomniejsze rzeczki i strumienie wysychają zupełnie w letnie skwary. Potoki górskie, płynące wezbraną falą podczas roztopu śniegów, czernieją suchem łożyskiem przez długie letnie miesiące.

Dodać bowiem należy, że suchość klimatu jest wprost niesłychana. Rosa stanowi fenomen nieznanym w środkowej Persyi. Jeden z dawniejszych podróżników, Oliriez, konstatuje ze zdumieniem, że na rozległej przestrzeni kraju, którą zwiedził, nie znalazł ani jednego ziemnego ślimaka. Nie dziwię się temu, jeśli przebywał latem bezwodne i przepalane przez słońce okolice. Deszcze nie spadają całymi miesiącami. W drugim roku mego pobytu, od początku marca do połowy września, jednej kropli wody niebo nie zesłało.

Letnie skwary trwają od początku maja do połowy października, nieraz dłużej. Oddycha się przez te długie miesiące żarem strasznym; noce tylko przynoszą ulgę, bo są względnie znośne, nawet w Teheranie, na 100 metrów nad morzem położonym, a zupełnie chłodne w górach Szymranu, dokąd w końcu maja wyruszają wszyscy Europejczycy. Persowie chronią się podczas upalnych go-



dzin dnia do swych „sirzemini,” piwnic, specjalnie na ten cel urządanych, czystych, a u ludzi bogatych wykwiutnych nawet, wykładanych mozażką lub marmurem, szemrzących kaskadą źródlanej wody, dopływającej do obramowanego w majoliki basenu. Panuje w tych piwnicach przyjemny półmrok i chłód orzeźwiający.

Wiosną, jak już mówiłam, spadają ulewne deszcze, powodujące stałe zapadanie się płaskich ziemnych dachów. W naszym domu przez dwa lata z rzędu rozpadał się w gruzy dach jadalnego pokoju, w salonie woda sączyła się w dwóch kątach, w sypialni wzdłuż jednej ściany. Należeliśmy jeszcze do względnie uprzywilejowanych; w wielu domach sypiano pod parasolami. A Europejczycy zajmują najlepszą dzielnicę i najporządniejsze budynki. Cóż dzieć się musi u Persów?

Przez te kilka dni potopu ziemia wchłania chciwie wilgoć (czego dowodem dachy); potoki górskie zalewają pola i drogi. I gdy kończą się krótkotrwałe deszcze, natura rozkwita w niezrównanym przepychu. Drogi, prowadzące do wiosek Szymranu, zamieniają się na te rozkoszne dni wiosny w ogrody z czarodziejskiej bajki. Kwitną na nich róże polne, białe, różowe, płomiennie-żółte i krwawo-czerwone. Krzaki stoją jak olbrzymie jedno-barwne bukiety, liści wcale nie widać. Przy nich róże ogrodów i bzy perskie blade-liliowe, o wątlęm i delikatnem kwieciu i woni upajającej, ciemne bzy tureckie o kiściach kwiatów jędrnych i skupionych, biała tarnina, osypana śnieżystemi płatkami, akacje białe i złociste, różowe tamaryksy, jaśmin o zapa-



chu ciężkim i słodkim, wszystkie wreszcie drzewa owocowe. Gdzieniedzie wznosi swą koronę judaszowe drzewo, wspaniałe i dziwne, o pniu ciemnofioletowym i różowo-liliowych kwiatach. Wszystko na słonecznych drogach rozkwita, jak za dotknięciem różdżki magicznej. Zielenieją topole i wierzby, srebrzy się białym liściem jujuba. Ogrody są jak wielkie kępy zieloności, róż i woni, trawnikami płyną smugi fijołków, przesypane płatkami brzoskwiń i jabłoni.

Gdy widziało się raz tę wiosnę Wschodu, zachowuje się na zawsze obraz jej we wspomnieniu. I nostalgiczna za nią tęsknota ściska duszę, gdy powieją pierwsze ciepłe podmuchy.

W Persyi poprzedzają tę porę roku silne wiatry. Lecz z największą gwałtownością zrywają się wiatry latem i jesienią, szczególnie na południu, gdzie straszliwe czynią spustoszenia. Wiatr gorący, niosący tumany kurzu i wirujące słupy piasku, przechodzi nad okolicą jak gniew boży, wyrwijając z korzeniami drzewa, znosząc namioty. Zwią go „samyałem,” lub wiatrem ognistym. Chardin obszernie o nim pisze. Wszyscy podróżni byli świadkami słabszych lub silniejszych huraganów wietrznych. Morier twierdzi, że o nich to myśleli prorocy mówiąc: „Wiatr, który przeszedł nad trawą, spalił ją.” „Zboże spalone jest, nim zostało zebrane.”

Nie widziałam spalonego zboża, lecz spotykałam w ogrodach i na drogach potężne drzewa przez wichurę zwalone.

Burza również rzadką jest jak deszcze, lecz gdy wybucha, to z siłą nieposkromioną. Oszalałam

i pogrąża w odrętwienie. Błyskawice nie schodzą na chwilę z niebą, pioruny biją bez przerwy w ogłuszającym huku grzmotów, które echa gór odbijają przeciągle. Huragan wstrząsa ścianami domów, szyby brzęczą żałośnie, drzwi, zamknięte na pierwotne zasuwę, otwierają się bezustannie.

Trwa to niedługo, a całe wieki... wreszcie deszcz spada nawałą. Mija parę godzin i z przeczystego nieba już śmieje się słońce, lub wyiskrzają się gwiazd miliony.

Jesień pogodna, ciepła, jeszcze trwa miesiąc, nie więcej i przepala liście drzew na wszystkie od-cienie czerwieni i złota. Nigdzie w naszej chłodnej Europie nie widziałam równie subtelnej różnaitości tonów. Z gałęzi układamy artystyczne bukiety, piękniejsze nad wiązanki kwiatów.

Zima krótka jest, ostra, mroźna i słoneczna. Śniegi spadają gęste, zasypując pola i drogi. W godzinach południowych słońce grzeje jednak prawie jak latem i działa prawdziwe cuda. Przybyliśmy do Teheranu w ostatnich dniach grudnia; najeliśmy mieszkanie około 10-go stycznia. W ogrodzie domu nad basenem rozkwitał jeszcze krzak róży, podczas gdy śnieg zalegał grubą warstwą miasto.

Zarzucenie stopniowe uprawy gruntu sprawia, iż kraj zamienia się powoli w bezpłodną i jałową pustynię. Zaledwie część prowincyi Azerbajdżanu i Farsistanu, jako też wązki pas Gilanu i Mazenderanu wzdłuż morza Kaspijskiego przedstawiają w niej dobroczynne oazy życia roślinnego, wykwi-

jącego bogato pod tem słońcem, jeżeli tylko człowiek zechce mu dopomagać wodą.

Dojrzewają pod niem granaty, figi, pomarańcze, cytryny, daktyle, trzcina cukrowa, niezliczone odmiany winogron i wszystkie prawie owoce stref naszych. Na południu ścielą się bezbrzeżne pola róż, z których ciągną wonną esencję i olej różany. Na południu też i w Gilanie zaprowadzona jest kultura jedwabników; drzewa morwowe rosną na rozległych przestrzeniach. W pewnej części Gilanu, około Rudbaru, znajdują się jedyne w Persyi gaje oliwne, dostarczające dość znacznej ilości oliwek. Mazenderan zaopatruje w ryż kraj cały. Mnóstwo pól obsiewanych dawniej zbożem, przeważnie pszenicą, idzie obecnie pod uprawę maku. Opium stanowi jeden z głównych produktów wywozowych Persyi.

Armeńczycy na dość szeroką skalę, choć w bardzo pierwotny sposób, wyrabiają wino, którego jednakże nie eksportują zupełnie. Za najlepsze uchodzą wina z Kasbinu, Ispahanu i Szirazu, białe i czerwone, nadzwyczaj silne i odurzające.

Od Khoj do Teheranu nie widziałam jednego lasu iglastego ani liściastego. Niema ich też w okolicy miasta, ani w całym Szymranie. Zato prowincya Gilanu, przesiąknięta wilgocią, siedlisko febrystycznej, przedstawia istny las dziewiczy, las odwieczny o chorobliwie wybujałej roślinności stref gorących. Gałęzie mimozy, wyrosłej do kolosalnych rozmiarów, płaczą się z konarami figowca, potężne paprocie wznoszą wysoko rozłożyste liście, naokół pni stuletnich wije się wino. Ma-



łe strumyki spływają ze szmerem. W gąszczach zieleni kłębią się węże... Choć zdradliwe wyziewy zatruwają powietrze i szerzą gorączkę i choroby, „Gilani”<sup>1)</sup> chełpią się ze swego wspaniałego lasu.

Z lasem Gilanu łączy się las Mazenderanu; obydwą ciągną się wzdłuż północnego stoku Elbrusu; obydwą roztaczają jednakowy przepych roślinności. Nasr-Eddin lubił polować w Mazenderanie i rok rocznie udawał się tam na długie wycieczki.

Różne drapieżniki nawiedzają lasy i pustynie Iranu. W lasach Gilanu i Mazenderanu czai się tygrys królewski; w prowincyi Farsu wodzą się jeszcze lwy bezgrzywe; w kniejach leśnych są dziki, wszędzie potrosze błąkają się wilki. W pustyni żyją szybko nogie gazyle, na które dość często a prawie zawsze bezskutecznie, urządzają polowania w okolicy Kasbinu. W pustyni też krążą jeszcze dzikie osły, z czarnym krzyżem na grzbiecie. Polowanie na nie było ulubioną rozrywką dawnych Persów; mówi już o niem Xenofont w Anabazisie. Mięso tych zwierząt uważane było przez „Irani” za nadzwyczaj wytworny przysmak, spożywany na stołach magnatów i królów. Przyjmując uroczyscie cudzoziemskich ambasadorów, Abbas Wielki uraczył ich festynem, na który zabito 32 dzikie osły.

Zapomniałam o jednym ze zwierząt, najprzykrzejszem: chcę mówić o szakalach, które nocami wyją przeraźliwie. Na wsi Szymranu oka nie-

<sup>1)</sup> Gilani — mieszkańcy Gilanu; Teherani — mieszkańcy Teheranu, Tebrysi i t. d.



raz zmrzyć niepodobna, gdy ich jęk przenikliwy, podobny do płaczu dziecka, miesza się z przeciągłym naszczekiwaniem psów-włóczęgów.

Z pomiędzy zwierząt domowych posiada — jak już mówiłam — Persya wspaniałe konie. Dostarczają ich przeważnie prowincye Horassanu, Turkestanu i Kurdżystanu. Wywóz ich do Europy jest prawie niemożliwy. Przeprowa statkiem bowiem najczęściej bywa dla nich zabójczą, a droga lądowa niesłychanie jest trudna i uciążliwa. Nasr-Eddin ofiarował był Napoleonowi III-mu czwórkę przepysznych arabskich rumaków, lecz stajnie cesarskie cieszyły się nimi niedługo.

. . . . .

Handel Persyi, jak i wszystko w kraju, chyli się do upadku. Głównymi przedmiotami wywozu są dywany i jedwabie, esencya różana i opium, suma eksportu którego wynosi 22 miliony fr. Szeroki dość odbył w Europie znajdują również wyroby z miedzi i różne starożytności, których część znaczną fabrykują w Ispahanie, Szirazie i Teheranie biegli w swej sztuce artyści-rzemieślnicy. Europa, stwarzająca z równem mistrzostwem rzeczy przyproszone pyłem wieków, o tonach umiejętnie przybladłych, nie może mieć do nich żalu o siekiarki Szacha-Abbasa i tarcze Tamaspa, kowane w roku pańskim 1890-ym, a sprzedawane za autentyczne za- bytki epoki.

Góry Persyi kryją w swem łonie nieprzebrane bogactwa mineralne. Jest w nich wszystko, co

mogłoby zapewnić krajowi dobrobyt i pomyślność. Są kopalnie węgla i żelaza, marmuru i malachitu, ołowiu i miedzi, srebra i złota, turkusów i rubinów. Eksploatowane miejscami tylko i niedbale, nie dają słabej części tego, co przynieśćby mogły. Pers, czy Europejczyk, który chciałby ten stan rzeczy poprawić i zastosować nowe środki dobywania i oczyszczania rudy, straci czas, pieniądze i energię na bezowocne wysiłki, które rozbijają się o nieprzebitą opokę obojętnej na wszystko apatyi. Persya daje się nieść fali życia; sama żyć już nie próbuje.

---

## IX.

Religia.—Sziici i Sunnici.—Ali, Hassein Imami.—Mułlowie i Muszdeidzi.—Sekty: babiści.—Giebrzy, wielbiciele ognia.—Moharrem, teatr religijny.—Przedstawienia w Takieh.

Persowie tworzą w mahometanizmie odrębny zupełnie odłam Sziitów, czczących jako świętych Alego, zięcia Mahometa i jego potomków, Imamów.

Po śmierci Mahometa, który nie pozostawił męzkiego potomka, halifat pozostał bez następcy—halifat, przedstawiający najwyższą władzę duchową i doczesną, jaką w swych rękach jednoczył prorok. Niezwłocznie wytworzyły się dwie wrogie partie: jedna, pragnąca wynieść na godność halifa Abu-bekra, ojca trzeciej, a ulubionej żony Mahometa Aiszy, druga, ofiarowująca go Alemu, pokrewnemu proroka i mężowi jedynej jego córki, Fatmy. Stronictwo Abu-bekra odniosło zwycięstwo; Ali zaś i jego zwolennicy, później zaś jego synowie Hassan i Hossein, jako też rodziny tychże, zostali zwykłym w historyi świata trybem — przez zwycięzców wymordowani.

Następca Abu-bekra, halif Omar, zawojował

Persyę i zaszczepił w niej islamizm. Wszystkie sympaty podbitego narodu zwróciły się—przez naturalną reakcyę — ku Alydom (potomkom Alego), których prześladowania i męczeństwo było poniekąd obrazem nieszczęść Iranu. Przytem młodszy syn Alego, Hossein, poślubił był księżniczkę perską, córkę ostatniego króla z dynastyi Sasannidów<sup>1)</sup>, popozbawionego tronu przez zaborców. Tenże Hossein, nie chcąc uznać za halifa Yezida-ben-Moawiah, drugiego króla z rodziny Omyadów, która zawładnęła halifatem po śmierci Omara, zmuszony był—chroniąc się przed gniewem Yezida—opuścić Medynę i uciec do Mekki. Mieszkańcy miasta Kufy (na południo-wschodzie Małej Azji, terytorium tureckie), oddani sprawie Alydów, wezwali wówczas Hosseina, ofiarowując mu przytułek w murach swego grodu i ogłaszając go za jedyne prawdziwego halifa, następcę proroka. Obawiając się smutnych dla siebie następstw z takiego postawienia sprawy, Yezid-ben-Moawiah wysłał przeciw Hosseinowi wojska, które spotkały go w pobliżu miasteczka Kerbelah, w otoczeniu 62 osób jego rodziny. Nastąpiła znów rzeź ogólna. Hossein, jego żony, dzieci i wszyscy towarzyszący mu Alydzi śmierć męczeńską ponieśli.

Śmierć ta utwierdziła jeszcze wyraźniej Persów w kulcie dla Alego i jego potomków Imamów.

---

<sup>1)</sup> Sassanidzi panowali w Persyi od 226 do 651 r. naszej ery. Wsławił tę dynastyę Sapor lub Czapur II Wielki.





Dama perska w kostymie domowym

Kwestya religijna i kwestya narodowościowa złączyły się ściśle. Imam<sup>1)</sup> Hossein jest dla każdego Persa nietylko świętym potomkiem proroka: zarówno wierzący, jak wolnomyślni, widzą w nim jednocześnie i przedewszystkiem bohatera i męczennika Iranu. Węzły krwi, które połączyły go z Sassanidami, zrobiły zeń, w ich pojęciu, prawdziwego syna ich ziemi. Persi otaczają czcią i uwielbieniem Alego, Hosseina i Imamów nie tyle dlatego, że pochodzą od proroka, ile że zwiążali swe losy z losami Sassanidów.

Sunnici zaś, muzułmanie tureccy, którzy za następcę proroka uznali Abu-bekra, odrzucając w zupełności kult Alydów i Imamów, czczą Omara, następcę Abu-bekra.

Sziici, w których umyśle z imieniem tego halifa wiąże się podbój kraju, żywią dla jego pamięci nienawiść.

Grobowce Imamów są miejscami świętymi i celem pobożnych pielgrzymek. Imamów było ogólnie dwunastu. Ostatni z nich, „Mahady”, przeniesiony został przez Allaha w 260-ym roku „hegiry<sup>2)</sup>”, a w 880-ym naszej ery w miejsce niewiadome, gdzie czeka dnia, w którym cała ludzkość nawróci się na islamizm. Najwięcej czczonym przez Persów jest, rozumie się, Imam-Hossein, którego

<sup>1)</sup> Imam—potomek proroka.

<sup>2)</sup> Hegira—ucieczka Mahometa z Medyny w 621 roku naszej ery. Data, od której zaczyna się era muzułmańska.

święte zwłoki spoczywają w Kerbelah, na terytorium tureckiem, gdzie poniósł śmierć męczeńską.

Mułowie, strzegący grobu, sprzedają wiernym grudki ziemi, mającej cudowne własności, a wydobytej z miejsca, na którym rozłożone były namioty Hosseina. Zważywszy, że zabito go przed lat z górą tysiącem, trzeba przyznać, że namioty musiały zajmować poważny obszar, by świętej ziemi starczyło po dni nasze na setki tysięcy pielgrzymów, nawiedzających rok rocznie grób proroka.

Ludzie bogaci i wielkiego rodu nieraz każą się chować na cmentarzach miast, słynących z grobów Imamów: w Messedzie, gdzie spoczywa Imam-Resa, w Kasbinie, w Kerbelah, wreszcie w Kum, dokąd grobowiec Fatmy, żony Alego a córki Mahometa ciągnie pobożne tłumy ze wszystkich zakątków Persyi.

Królowie odbywają te pielgrzynki narówni z prostymi śmiertelnikami. Fat-ali-Szah pieszo, na znak pokory, przebywał przestrzeń od wrót miasta do grobowca, który zbogacił przytem mnóstwem cennych darów. Grobowiec ten odznacza się wielkim przepychem. Trumna i otaczająca ją naokół balustrada wykute są w srebrze. Na nabitych złotymi blachami drzwiach sanktuarium wyryto napisy z Koranu. Mnóstwo złożonych naokół grobowca ofiar, drogocennych kamieni i kosztownych przedmiotów, świadczą o naiwnej wierze tłumów.

Sziici więc (Persi) różnią się przedewszystkiem od Sunnitów (Turków i Arabów) kultem dla Alydów, którzy prześladowani byli przez Sunnitów. Jednym z punktów, dzielących jeszcze te dwa



szczypty Islamu, jest prawo dowolnego interpretowania Koranu, przysługujące wszystkim Sunnitom, podczas gdy u Sziitów mułlowie jedynie mogą komentować boskie księgi.

Duchowieństwa niższego—mułłów (inollah) jest w Persyi ilość niezliczona. Na każdym kroku roi się od ich białych i zielonych turbanów. Hierarchia duchowna przedstawia bardzo mało stopni. Mułlowie każdej prowincyi zależą od tak zwanych Imam-Dżomeh, mianowanych przez rząd i od rządu pobierających pensyę. Imam-Dżomeh zaś, na równi z mułłami, zwracać się muszą do najwyższej instancyi „Muszdeidów,” wielkich kapłanów. Tych jest zaledwie kilku na kraj cały: świątobliwe życie i wielkie cnoty wskazują ich zazwyczaj na to stanowisko. Decyzye Muszdeidów w kwestyach wiary i prawa mają moc wyroku: królowie nawet odnoszą się do nich z najwyższą czcią i poszanowaniem; śmierć każdego z nich pociąga za sobą żałobę narodową. Godność pierwszego muszdeida przypada w udziale arcykapłanowi, zamieszkującemu w Kerbelah, świętem mieście, chroniącem zwłoki Imam-Hosseina.

Z Muszdeidów Persyi najwyższą sławą i poważaniem cieszył się podczas naszego tam pobytu muszdeid Tebrysu. Mogliśmy osobiście sprawdzić olbrzymie uznanie, jakim we wszystkich sferach społecznych otaczają tych dygnitarzy kościoła. W przededniu postanowionego przez nas wyjazdu do Teheranu muszdeid, chory oddawna na oczy, zastanowiwszy się, że wiedza medyczna „hakima frengi<sup>1)</sup>” więcej może warta od nauki perskich le-

<sup>1)</sup> Hakim—doktor.



karzy, jeśli go do kształcenia ich sprowadzają—zawezwał nagle mego męża do siebie. Uprzedziliśmy już depeszą ministra oświaty, który naglił o najprędsze przybycie, że nazajutrz wyruszamy. Muszdeid tymczasem wyraził po konsultacji życzenie, aby doktor został na dni parę i sam przeprowadził przepisaną przez się kurację. Wszyscy znajomi Persowie zawyrokowali natychmiast, że odmówić nie możemy, bez narażenia sobie całkowicie opinii publicznej. Zapytany depeszą minister, odpowiedział niezwłocznie, że możemy zabawić w Tebrysie tak długo, jak tego zapragnie muszdeid, gdyż wezwanie lekarza przez tego kapłana jest najwyższem usankcjonowaniem jego wiedzy.

Nie dosyć na tem. Gdy przybyliśmy do Teheranu, wszyscy bez wyjątku, zaczynając od Nasr-Eddina i ministrów, a kończąc na chorych, którzy posypali się tłumnie, winszowali „hakimowi czeszm<sup>1)</sup>” tej kuracji i poczytywali ją za zaszczyt dlań i dobrą wróżbę.

Biedny muszdeid umarł jeszcze podczas naszego w Teheranie pobytu. Żałobne jęki słychać było ze wszystkich meczetów; sklepy i bazyry pozamykano, jak w święta uroczyste, w to święto smutku narodowego.

Po nad mułłami i Imam-Dżomeh istniała dawniej najwyższa władza duchowna, szef i głowa kościoła—papież sziiżmu, Sudder-ul-Suddur. Lecz jeśli potęga duchowna arcykapłana nie zawadzała szachom, władza jego ziemską wydała im się zbytecz-

---

1) Haki czeszm—doktor oczu.

ną. To też Fet-ali-Szah uważał za akt dobrej polityki zniesienie tego pontyfikatu. rzucającego cień na jego wszechwładztwo.

W taki sposób zniesiona została oligarchia duchowna, lecz nie zmniejszył się bynajmniej wpływ duchowieństwa. Mułłowie ciążą olbrzymią siłą reakcyi na całym życiu społeczeństwa i paraliżują wysiłki jednostek, pragnących wyrwać naród z mocy obskurantyzmu.

Mułłowie nie tylko komentują Koran i walczą uparcie ze światłem i postępem. Zwierzchnim sądem każdej prowincyi w kwestyach prawa cywilnego, a więc: własności, podziałów spadków, wyłączeń, małżeństw i rozwodów jest trybunał, złożony — pod zwierzchniem przewodnictwem Imam-Dżomeh — z mułłów, biegłych w prawnictwie. Wyroki ich oparte są na słowach Koranu i na tradycyach obyczajowych, moc prawa mających. Urzędnicy cywilni korony — gubernatorzy prowincyi i podległa im rzesza poddostojników, rozstrzygają tylko w kwestyach prawa karnego i zajmują się gorliwie poborem podatków<sup>1)</sup>.

Nie zdaje mi się, by Persowie w tajnych głębiach ducha odznaczeni się nadmiarem pobożności, a szczególnie wiary.

Przekonana nawet jestem, że sfery intelektualne najzupełniej są ze wszelkich przekonań religijnych wyzute, lub hołdują, co najwyżej, zasadzie dei-

---

<sup>1)</sup> Szczegóły o urządzeniach sądowych znaleźć można w *Le Caucase et la Perse* przez M. Orsolle.

zmu. Jedynie ciemny tłum wierzy ślepo w słowa Koranu. Ale taką jest potęga duchowieństwa i tak liczyć się z nią trzeba, że wszyscy „Irani”, zarówno wierzący, jak obojętni i wolnomyślni, zachowują w zewnętrznych stosunkach życiowych pozory wiary, a nawet fanatyzmu. Każdy z nich wspomina w każdej okoliczności imię Allaha; z ust wciąż się sypią Insz-Allah, Masz-Allah, Berek-Allah<sup>1)</sup>. Na rękę każdy Pers zawieszony ma różaniec, którego paciorki machinalnie przesuwają, powtarzając jakoby w myśli sto imion Allaha. Gdy zaś nadchodzi godzina modlitwy: o wschodzie słońca, w południe lub o zachodzie, kiedy z minaretów rozlega się nawoływanie muezzinów - zwraca się ku Mecce, zastygły, zda się — w zamodlonej pozie. Lecz za przesadą tych zewnętrznych demonstracji kryje się często najzupełniejszy indyferentyzm religijny.

Mówiłam już, że podczas świętego miesiąca Ramadanu przepisy religii zabraniają wiernym spożywania potraw pomiędzy wschodem i zachodem słońca. Prosta masa ludu obserwuje ten post ściśle; przekonana jestem że służący nasi nie jedli nic przez dzień cały. Ślaniali się jak cienie, wyniszczeni i osłabieni, pracowali jeszcze leniwiej niż zazwyczaj, choć już miara zwykłego ich pracowstrętu jest dość imponująca. Gdy o zachodzie słońca rozbrzmiewał wystrzał z Top-Khaneh, rzucali się na jedzenie z żarłocznością, świadczącą wymownie o dłu-

<sup>1)</sup> Jeśli Allah pozwoli, chwała Allahowi i t. d.



giej wstrzemięźliwości. Lecz wszyscy prawie Persowie z lepszej sfery posilają się w ciągu dnia, kryjąc się przed służbą. Wstrzymują się jedynie od picia wódki i wina, obawiając się, by zapach alkoholu nie uderzył czułych powonień mułłów, z którymi każdy codziennie się styka. Ale to chwilowe umartwienie powetowują sobie nocą. Z bardzo i bardzo nielicznymi wyjątkami piją oni wódkę i to już nie kieliszkami, lecz całymi szklankami. Po wchłonięciu kilku takich porcyj obrzydliwego i mocnego „raki” zachowują całą przytomność umysłu, co świadczy wymownie o pewnem wyrobieniu w kierunku absorbowania alkoholu.

Pod osłoną religii oficjalnej i zewnętrznymi pozorami prawowierności kryją się i krzewią niezliczone sekty. O jednej z nich, której doktryny wywarły wpływ potężny na masy, a szczególnie na tą część społeczeństwa, która czuje i myśli, pragnęłabym wspomnieć słów kilka. Jest to sekta babistów, których krew męczeńska popłynęła strumieniami przed pół wiekiem, sekta, pozornie zduszona, w rzeczywistości posiadająca obecnie tyłuż może, co w epoce pierwszego rozkwitu wyznawców. Tylko, nauczeni krwawem doświadczeniem poprzedników, dzisiejsi babsi kryją swe przekonania i przesuwają jaknajprzekładniej w rękę paciorki różańca.

Twórcą tej sekty był Seid<sup>1)</sup> z Szirazu, Mirza-Aly-Mohammed, który od lat młodzieńczych zasły-

---

<sup>1)</sup> Potomkowie męczenników, którzy zginęli wraz z Hosseinem i Alydami.



nał był w swem otoczeniu z cnót niepospolitych, słodyczy i łagodności niewymownej, połączonej z pogodą umysłu otwartego, jasnego, obejmującego szeroko kwestye filozoficzne, religijne i społeczne.

Aly-Mohammed gromadził naokoło siebie tłumy słuchaczy i prozelitów. Odrzucając całkowicie Koran i wszystkie jego baśnie, „Bab'”), jak sam siebie nazywał, uznawał jedyne Boga, odmiennego od Biblii i Mahometa. Istota boska, w koncepcyi Baba, przenika wszystkie twory; są one wprost jej emanacją i powrócą do niej w dniu sądu ostatecznego. Religia ta jest najczystszyim panteizmem.

Zło istnieje na świecie, nie stanowi jednak koniecznego wyniku dualizmu ducha, ani fatalnego następstwa przewinień prarodziców—lecz jest tylko niezbędnym rezultatem faktu stworzenia i oddzielenia się czasowego tworu od istoty boskiej. Pojmowanie go w taki sposób wyklucza pokutę, ofiarę, ascetyzm, którym to umartwieniom Bab nie przyznaje racji bytu.

Natura ludzka jest dobrą; człowiek, zdając sobie sprawę ze swego boskiego pochodzenia, dąży do doskonałości. Religia Baba pomaga mu w tem dążeniu, głosząc zasady dobroci, pobożności i litości. Nakazuje ona bogatym opiekować się biednymi w imię Boga, który w ich ręce złożył majątek, jako depozyt, a nie własność. Potępia zarówno poligamię — która zresztą staje się już obecnie zbyt

1) Wrota do poznania Boga.

kiem rodziny królewskiej—jak bezżeństwo. „Z każdego istnienia powinno powstać istnienie”. Potępia życie haremu, zamykające w poniżającej niewoli umysł i ducha kobiety; żąda dla niej szacunku i równouprawnienia. „Każdy babi ma prawo rozmawiać i przestawać z kobietami, widzieć je z odkrytą twarzą”. Potępia rozluźnienie węzłów rodzinnych, będące naturalnym skutkiem wielożeństwa i niskiego stanowiska społecznego kobiety, od której nie wymaga się nawet, by umiała być matką. Jest tylko płodzącem stworzeniem.

Słodki apostoł czarem natchnionego słowa i przykładem życia cnót pełnego pociągał serca i umysły tłumów. Liczba zwolenników babizmu wzrastała szybko i potężnie; doktryny Baba, rozprzestrzeniane przez jego uczniów, znalazły odźwięk w całej Persyi. Zaniepokojeni mułlowie zakrzętnęli się czynnie, skłaniając rząd do prześladowań.

Wybuchnęły też one ze straszną siłą. Bab i ulubiony jego uczeń rozstrzelani zostali w Tebrysie, krew wyznawców babizmu popłynęła potokiem. Na śmierć męczeńską i torturę poprowadzono kobiety, dzieci, starców. Wytępiono ludzi, lecz nie zabito idei; babizm żyje w wielu sercach i mózgach <sup>1)</sup>.

W Persyi pozostała jeszcze szczupła garstka wyznawców wiary starożytnego Iranu *giebrów*, wiel-

---

<sup>1)</sup> Bab zaczął głosić swą doktrynę w r. 1848. Szczegóły o babizmie w źródłowym dziele M. de Gobineau: *Religions et philosophies dans l'Asie Centrale*.

bicieli ognia. Cierpią oni prześladowania i z wiarą swą się kryją, ale z dumą uważają się za jedynych prawdziwych potomków dawnych Irani. Liczba ich w całym państwie nie przenosi 9,000; w Teheranie jest ich zaledwie kilkuset.

O dziesięć może kilometrów za miastem wznosi się wieża, nizka i szeroka, samotna i ponura, na tle wzgórz czarnych i jałowego, smutkiem wiejącego krajobrazu zniszczenia. Zwą ją wieżą *giebrów*, lub wieżą milczenia — *Dagmeh*. Jest to cmentarzyśko *giebrów*. Krążą nad niem drapieżne ptaki, szarpiąc zgniliznę ciała, rzuconych im na pastwę; obyczaj religii zakazuje *giebrów* grzebać umarłych.

. . . . .

Do pobieżnego tego nader rzutu oka na religię, o której szczegółów zasięgnąć można w znakomitej pracy M. de Gobineau *Religions et philosophies dans l'Asie centrale*—dodać muszę kilka uwag o Moharremie, miesiącu żałoby i odbywających się w tej epoce obrządkach i uroczystościach.

Już u dawnych Arabów, przed wprowadzeniem jeszcze Zolamizmu, Moharrem był miesiącem świętym. Wrogie plemiona zawieszały w tym czasie wojenne czynności. Podczas pierwszych dni dziesięciu Moharremu Koran schodził częściowo z nieba, by się objawić wiernym. Wreszcie świętego dnia tego miesiąca, zwanego *ruz-Katl* <sup>1)</sup> lub

---

<sup>1)</sup> Ruz — dzień.



*ruz-Hossein*, Imam Hossein, którego opowiadałam śmierć tragiczną, został zamordowany wraz z otaczającymi go Alydami przez żołnierzy Jezida-ben-Moawiah.

Dlatego też Moharrem jest dla Persów okresem żałoby i postu. Jednocześnie, na całej przestrzeni Iranu, w najmniejszych osadach i największych miastach odgrywają — przez pierwszych jego dni dziesięć — na zaimprovizowanych scenach dramaty, upamiętniające główne epizody końca życia Hosseina, od ucieczki z Medyny do śmierci jego w Kerbelah. Śmierć tę przedstawiają teatry w dniu dziesiątym—*ruz-Katl*.

Podczas pobytu jeszcze na wsi Szymranu w pierwszych dniach Moharremu nie miałam sposobności widzieć Takieh królewskiego w Teheranie, urządzonego z największym przepychem i posiadającego najlepszy dobór improwizowanych aktorów. Lecz obecną byłam na dwóch przedstawieniach w Kameranah, rezydencji księcia Najeb-Saltaneh, brata Muzaffer-Eddina, a ulubionego syna Nasr-Eddina. Zamknięte w jednej z łóż dla żon księcia przeznaczonych (było nas parę kobiet europejskich), patrzemy na widowisko, jak prawdziwe wschodnie *hanum* poprzez czarną sukienną firankę, zasuniętą nad łożą i powyrzynaną w ażurowe desenie. Widzimy wszystko, pozostając niewidzialnemi.

Takieh jest olbrzymim namiotem, którego ściany obciążnięto na znak smutku czarnym kirem żałoby. Jarzy się w nim mnóstwo świeczników, co bynajmniej duszy nie rozwesela. Wszyscy obecni ubrani są czarno: nas również poproszono uprze-

dnio o przybycie (w czarnych sukniach, w których topiny się zwolna w podzwrotnikowym skwarze.

Naokół piętra Takieh ciągnie się szereg łóż o ażurowych ciężkich zasłonach, za którymi kryją się żony księcia i ich otoczenie. W łóżach dolnych, otwartych, zasiedli oficerowie, urzędnicy, mułowie. Tłum mężki zalega ławki, których kilkanaście rzędów otacza teatr amfiteatrem.

Parter zarezerwowany jest całkowicie dla kobiet.

Z boku wznosi się rodzaj ambony, obciągniętej czarnem suknem. Wchodzi na nią mułła i — przed zaczęciem przedstawienia — przypomina publice, jakie okoliczności z życia Hosseina wiążą się z dniem danym i jaka część dramatu jego dni ostatnich odegrana będzie przed ich oczyma. Pobudza ich równocześnie do smutku, płaczu i do wylania za zewnątrz nagromadzonego w duszy bólu.

Nie zapominajmy, że Hossein jest dla Persów męczennikiem narodowym, że ci z nich nawet, którzy mają Koran za stek kłamstw i absurdów, uważają syna Alego za bohatera, który złączył swe losy z losami prześladowanej dynastyi i zginął tak, jak zginęli Sasannidzi. W ich wspomnieniach—wraz ze wspomnieniami śmierci Hosseina—odżywa dawna chwała, najście Omara, zalanie kraju przez zwyciężkie armie halifa. I wszyscy płaczą łzami gorzkiemi żalu, gdy mułła opowiada o świętym męczenniku, a aktorzy odtwarzają sceny z jego życia.

Przedstawienia są nadzwyczaj naiwne; dekoracye nie istnieją prawie; niektóre postacie odznacza-

ją się szczytnym komizmem. Przesuwa się, naprzykład, często przez scenę, rozprawiając szeroko europejski ambasador *wazir muhtar frengi*, ubrany cu-  
dacznie w tużurek *clergymana* angielskiego; na głowie ma cylinder. Tradycya twierdzi, że przedstawiciel któregoś z mocarstw Europy interweniował był wobec Yezidów, żądając oswobodzenia Hosseina.

Zważywszy, że Imam zabity był w 681 roku naszej ery, widzimy całe nieprawdopodobieństwo tej wersji. Za ambasadorem kroczy śmieszna figura w króciutkiej żakietce i okrągłym kapeluszu—zadziwiająco poszanowanie dokładności historycznej kostyumu!—postać owa przedstawia *hakuna* (doktora) dostojnego dyplomaty.

Lecz zapomina się wkrótce o tych śmiesznych i wulgarnych szczegółach wobec życiowego dramatu, który przypomina nam gra aktorów, i wobec tego przedewszystkiem, co dzieje się w samej widowni. Gdy kolejno przesuwają się przez scenę Alydzi, gdy Hosseinowi grozi coraz cięższe niebezpieczeństwo, gdy po przeciągłej i rzewnej w początku deklamacyi odzywa się tragiczna nuta, prawdziwy jęk rozpaczycy—cały teatr wybucha nagle łkaniem, krzykiem szczerej, niekłamanej boleści. Rozbrzmiewają zawodne *Wai! Wai! Yah Hossein! Hussan! Hossein!* i wstrząsają do głębi duszę. Moje nerwy tak słabo są zahartowane i tak źle opancerzone przeciw tym wrażeniom wielkich wzruszeń tłumów, że lży gwałtownie napływają mi do oczu. Na scenie płaczą drobne dzieci Hosseina, śpiewając przytem niewymownie żałosne, mimo swej monotonności, motywy.



Wielki dramat jest w tym śpiewie. To agonია w głos ludzki wlana. Skardze dzieci odpowiadają nowe jęki tłumów.

Tak musieli płakać Żydzi pod murami Jerozolimy tym przeciągłym, długim jękiem konania...

Oto w dniu dziesiątym Moharremu epilog dramatu. W okolicy Kerbelah, którą ma przedstawiać scena, rozłożono dwa namioty; Imam obozuje w nich ze swą rodziną. Przez scenę przesuwają się postacie pół-nagie z zatkniętymi za pas długimi włóczniami, na których kołyszą się dziwne metalowe chorągwie z napisami z Koranu. Dalej kroczą ludzie, niosący przez scenę emblematyczne przedmioty, mające przypominać koniec Hosseina, a więc jego trumnę, jego ubranie, wreszcie wspianego konia arabskiego, na którym był właśnie, gdy go zabito. Zjawiają się krwią zbroczeni towarzysze Hosseina, którzy wraz z nim tego dnia zginęli. Nadchodzi wreszcie sam Hossein w otoczeniu swych żon i dzieci. Rozpacz tłumów dochodzi do ostatnich kresów paroksyzmu. Jeden olbrzymi jęk bólu przerywa powietrze, jęk nabrzmiały wściekłą zajadłością przeciw ciemnościom i mordercom. Sypią się klątwy na Yezidów i na Omara. A nad wszystkim góruje skarga żałosna, płynąca z tysiąca piersi: *Hassan, Hossein! Yah Hossein!*

Nie próbuję już opisać tego, co się dzieje w Takieh, gdy żołnierz podnosi rękę na Hosseina, gdy zabijają jego towarzyszków i dzieci. Oddycham, wychodząc na powietrze i słońce; ciężar spadł mi z serca i z mózgu. Rozumiem, że ludzie, przez

dziesięć dni z rzędu na to patrzący, dochodzą do chorobliwej egzaltacji.

Przez te dziesięć pierwszych dni Moharremu ulice są widownią szczególnych procesyj. Tłumy pół-nagich postaci, o piersiach i czołach zakrwawionych na znak żałoby, ze sztyletem lub nożem uwiązłym jeszcze w ranie, krążą po ulicach, bijąc się w nagie piersi miarowym ruchem. Dzikie to i przejmujące. Niejednokrotnie fanatycy umierają z ran, które sobie zadają podczas tych procesyj Moharremu.

---

## X.

Obchód Nowego Roku. — Sala tronowa. — Tron Mohammed Szacha. — Uroczystość Salamu. — Dary królewskie: pieniądze, konie, kalaaty. — Gościna króla u poddanych. — Ceremoniał dworski — Święto wielbłąda.

Nie wiem, czy religia sziitów zaleca jakie zewnętrzne obrządki, uspokajające dusze po łzach nad losami Alydów i Hosseina i smutkach Moharremu. Lecz zsyła wesele po ciężkim poście Ramadanu, poście strasliwym, wycieńczającym nad miarę tych, którzy zachowując go skrupulatnie, nie wypiją od wschodu do zachodu słońca szklanki wody i unieją odwrócić oczy od pokusy nęcącego ich kalianu. A zważywszy, że post ten przypada nieraz w lecie <sup>1)</sup>, w znojne żary i w zabójczą suszę, bohaterstwo tych wiernych jest wielkiem i będzie im chyba w dniu sądu przez Allaha policzone.

---

<sup>1)</sup> Miesiące kalendarza muzułmańskiego są księżycowe, a więc ruchome; co rok każdy z nich przypada o 10 dni wcześniej, niż roku poprzedniego.



Podczas mego pobytu Ramadan przypadł na wiosnę. Ostatniego wieczoru tego miesiąca umartwienia Persi wylegli na dachy domostw i wyczekiwali gorączkowo zjawienia się księżyca. Jego ukazanie bowiem zwiastuje Rok Nowy—*No-ruz* <sup>1)</sup> (dosłownie nowy dzień), wraz z którym zaczyna się szereg uroczystości ciekawych i poetycznych w swych zewnętrznych przejawach, a pozostawiających w pamięci szereg obrazów świetnych i iskrzących, barbarzyńskich i wspańiałych. Główną z nich jest *Salam* — powinszowanie noworoczne, złożone przez lud królowi-królów w pierwszy dzień *No-ruzu*.

Europejczykom z kolonii dyplomatycznej lub pozostającym w służbie rządowej, chętnie udzielają zaproszeń na tę uroczystość. Rozumie się, że korzystamy z nich skwapliwie. Poprzez gęste tłumy, cisnące się w *Majdoni-Topkhaneh* (plac broni) i przyległych ulicach powóz przesuwają się z trudem. Jesteśmy wreszcie w ogrodzie pałacowym, zwanym *Gulistanem* <sup>2)</sup>, czyli krainą kwiatów. Rzeczywiście, jedna to z najbogatszych oaz roślinności *Teheranu* i jego okolic. Przejrzyste strumienie płyną po dnie z niebiesko-turkusowych majolik; takąż majoliką wyłożone są dna licznych basenów, w których srebrzy się woda, jak lza czysta. Szafir nieba odbija się

---

<sup>1)</sup> *No-ruz*, choć oznajmia Nowy rok, nie jest przecież pierwszym miesiącem roku. Jest nim *Moharrem*; *Ramadan* jest 10-yim miesiącem, z nowym rokiem zaczyna się więc jedenasty miesiąc.

<sup>2)</sup> *Gul*—kwiat.

w kryształowej fali; od zacienionych alei wieje chłód rzeźwiący. Docieramy do budynku, zwanego talarem lub „Tachti-Khaneh” <sup>1)</sup>), salą tronową. Przed nim rozściela się dość obszerny plac, właściwy teatr Salamu.

Owa sala tronowa wznosi się na niewielkiem podwyższeniu, a pozbawiona jest zupełnie przedniej, patrzącej na ogród ściany, tak, że z zewnątrz widać tron doskonale. Sala uchodzi za jeden z najpiękniejszych wzorów sztuki ornamentacyjnej perskiej, którą artyści irańscy, osiedleni w Hiszpanii w mieście Rioja, przenieśli byli podobno do pałaców maurytańskich. Wysoki sufit tworzy kilka wielkich sklepień, podzielonych na mniejsze niezliczoną linią łuków i załamów, rzeźbionych delikatnie, pokrytych arabeską barw i złocen. Od tła ich odbijają oryginalnie malowane postacie kobiet i jeźdźców; wszędzie płaczą się kwiaty. Pomimo bogactwa kolorów i złocen, nie razi to oka jaskrawością, lecz przeciwnie daje wrażenie harmonijnego dzieła prawdziwych artystów. Tylną ścianę Tachti-Khaneh stanowi jedno szerokie okno łukowe, którego szkła różnokolorowe tworzą zwoje kwiatów i ujęte są w misterne, jak tkanka pajęczna, lekkie linie rzeźb drzewnych.

Dwie boczne ściany pokryte są, podobnie jak sklepienie, rzeźbami i złoceniami. Wyrzynane w najróżnorodniejsze formy zwierciadlane, ramy otaczają portrety królów z dynastji Kadżarów: niepiękną i nieciekawą twarz Mohammed'a, wspaniałą czarną

---

<sup>1)</sup> Tachti—tron.

brodę Fet-ali-Szacha, energiczną i drapieżną nieco głowę Nasr-Eddina. Władcy Persyi mogą się malować i fotografować wiele tylko zapragną, w najrozmaitszych pozach i postaciach. Lecz ani w marmurze, ani w bronzie, ani w gipsie uwiecznić im się nie wolno. Przepisy religii uważają za grzeszne portrety, rzucające cień postaci. Nie umiem objaśnić, w czym się to wierze Mahometa sprzeciwia. Wiem wszakże, że Nasr-Eddin wywołał surową krytykę i głośnie oburzenie w sferach duchownych, pozwalając jakiemuś nieudolnemu artyście przedstawić swą królewską postać w rzeźbie na koniu. Ze stanowiska estetyki słusznie można biadać nad tym wybrykiem monarszym; grupa jest wprost okropna; wyzłocony koń, wyzłocony król, wyzłocony postument, a naokoło szafirowe słupy latarni.

Sufit sali tronowej opiera się z przodu na prześlicznych, kręconych, alabastrowych kolumnach pokrytych splotami kwiatów, oraz liści zielonych, złotych.

Wzdłuż dwóch bocznych i przedniej ściany biegnie na metr przynajmniej wysokości obramowanie z przezroczystego białego marmuru, na którym nakładane są wypukło złotej i zielonej barwy liście, kwiaty i arabeski. W każdym dawnym pałacu królewskim te przezroczyste marmury <sup>1)</sup>, będące wytwo-

---

<sup>1)</sup> Marmury te pochodzą głównie z prowincyi Aserbajdżanu, a mianowicie z Denkherghanu, położonego na północo-wschodzie jeziora Urmiah i z okolic Suk Balaku na południu tegoż jeziora.



rem powolnego sączenia się źródeł, przesyconych ciałami wodnistemi, a przeświecające zielonkawym odcieniem, stanowią ozdobę choćby kilku pokoi. Wyłożony też był niemi słynny meczet niebieski w Tebrysie.

Tron Mohammed-szacha, na którym w dni przyjęć solennych, jak dzień dzisiejszy, zasiadają władcy Persyi, wykuty jest w tymże kosztownym marmurze. *Tachti mermer* (tron marmurowy) wznosi się na środku sali, blisko przedniej, otwartej na ogród ściany; szerokie krzesło tronowe oparte jest na lwach i karytydach, dwa zaś marmurowe stopnie na lwach i sfinksach.

Obecni na Salamie europejczycy pomieszczeni są w sali do *Tachti-Khaneh* przylegającej, z kądem wzrok obejmuje ogród, plac i cały obraz, na nim się rozsnuwający. Przez drzwi, otwierające się na salę tronową, widzimy również dobrze monarchę i każdy ruch jego.

W ogrodzie, na placu przed pałacem tłoczy się tłum olbrzymi. Przybyli tu hanowie turkomańscy i tatarscy, bejowie kurdzcy, książęta afgańscy w kostyumach malowniczych, w zawojach jedwabnych o barwach gorących. Nie brak żadnego z dostojników korony. Jest „*Sadrah asam*,” wielki wezyr, prawa ręka króla królów, i wszyscy inni ministrowie. Na przedzie stoi wielki mistrz ceremonii, wspinały Zaire-Dowle (szwagier Muzaffer-Eddina) o hardej twarzy i jasnym wąsie sarmaty. W tego Zaire-Dowle wpatruję się na wszystkich obrzędach, na których figuruje jego arystokratyczna i buńczuczna

postać, tak mi przypomina zawadyackie typy magnatów z obrazów Matejki.

Prawda, że i pewne kostyummy persów tak podobne są do naszego stroju narodowego: atlasowe żupany, lite pasy, suknie z wylotami. Tu dopiero widzę wyraźnie, jak wiele szczegółów ubrania przyjęli od nich nasi przodkowie; dygnitarze przybrani są w długie, sięgające do ziemi płaszcze z kosztownych szalów perskich lub złotogłowiów ispahańskich, okładane sobolami. Olbrzymie brylanty iskrzą się na guzach; na wszystkich piersiach błyszczy portret szacha, otoczony brylantami—najwyższe odznaczenie, udzielane przez monarchę.

Przy nich stoją przedstawiciele licznej rodziny Kadzarów, której niestrudzony Fet-ali-szach przysporzył tylu potomków, dalej mułłowie, dalej jeszcze dowódcy armii w obwieszonych orderami i kapiących złotem mundurach. Na lewo europejscy oficerowie w błyszczących hełmach i sutych szamerowaniach. Setki służących w liberyach tak wyłoczonych szychami, że można ich wziąć za—jenerałów, kręcą się pomiędzy grupami. Zdała od Majdani-Topkhaneb i przylegających ulic płynie zgiełk przytłumiony tysiącznych tłumów.

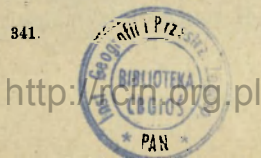
Salwa wystrzałów armatnich oznajmia ukazanie się króla. Otwierają się podwoje bocznego, na lewo od Talaru położonego pałacu (na rezydencję królewską składa się cały szereg budynków). Widzę Nasr-Eddina, zawsze młodego, trzymającego się sztywno i prosto, noszącego zadziwiająco dobrze swe lat 70, czarnowłosego i czarnowąsego, dzięki dobroczynnemu „henne”. Szach kroczy wolno, kie-

rując się do Talaru między podwójnym szeregiem dostojników schylonych, do ziemi prawie zgiętych, jak gdyby objawił się prorok i między lud swój zeszedł. Tak mało dziś ważący we wszechświatowej polityce władca jest rzeczywiście wszechpotęgą wobec swych poddanych. Gdy posuwa się zwolna, zapatrzony gdzieś w nieskończoność, hieratyczny, olśniewająco wspaniały, w mundurze o guzach skrzęcych rubinami i brylantami, o epoletach z potwornie wprost olbrzymich szmaragdów, otoczonych frendzlą wielkich pereł, o kołnierzu i wyłogach brylantami sadzonych, o pasie, spiętym wielką brylantową klamrą, jest istotnie jakby w chwale i apoteozie wyosobnionym i przedstawiać się może podnieconej wyobraźni tłumów jako „Biegun Wszechświata, cień Wszechmocnego, Król królów, studnia wiedzy i bożyszcze.”

Gdy król zasiadł na tronie, „piczetmet” (paź) podaje mn kaljan dni uroczystych, rżnięty z górskiego kryształu i zdobny w drogocenne kamienie. Z tyłu za nim, o poręcz tronową oparty, leży długi wałek puchowy, obsyty w jedwabie, zahaftowane całkowicie perłami, siejącami łagodne i miękkie blaski. U stóp tronu kłęczą dwóch czarnych eunuchów.

Od czasu do czasu zwolna, w cięż w dal niewiadomą zapatrzony, monarcha pociąga kaljan.

Zaczyna się Salam. Król przemawia pierwszy, życząc swemu ludowi dobrego roku. Przemówienia Nasr-Eddina odznaczały się podobno wielką czystością języka, której szach przestrzegał gorliwie. Lecz





ilekroć go słyszałam, uderzał mnie więcej, niż dobór wyrazów, który trudno mi było ocenić, niezwykły lakonizm tych przemówień. Toż samo konstatają na Salamie. W odpowiedzi na „speech” monarszy, przemawia wielki wezyr, wychwalając w kwiecistych zwrotach dobrodziejstwa, jakie spadają na kraj ze szczęśliwych i chlubnych rządów Nasr-Eddina.

Wezyr skończył. Szach rzuca znów szereg zdań urywanych i niezbyt się z sobą wiążących: „Czas jest piękny, zwiastujący dobre urodzaje. Miejmy nadzieję, że spadną deszcze i sprowadzą bogate zbiory,” i inne refleksje filozoficzne o sprawiedliwości, bezinteresowności, prawdzie, z których wieje mądrość La-Palicéa.

Teraz kolej na poetę dworu, stojącego na przedzie grupy Kadżarów. W improwizacji, która ma naśladować natchnienie, opiewa chwałę króla i cnoty Kadżarów; gdy wymawia imię władcy Irauu, wszyscy obecni chylą się niemal do ziemi.

Salam się kończy. Wielki kapłan wzywa błogosławieństwa niebios na szacha i jego rodzinę. Nowe strzały armatnie zwiastują zakończenie uroczystości. Nasr Eddin schodzi z tronu tymże krokiem wolnym, zapatrzony w przestrzeń, jakby po obłokach stąpający, i idzie między podwójnym szeregiem głów schylonych.

Po skończonym Salamie prowadzą nas do galerii, nad salą tronową położonej, z kądem patrzymy na igrzyska, będące w naturalnym porządku wszelkich uroczystości. Siłacze o głowach całkowicie wygolonych, na pół nadzy i wymazani tłuszczem, wy-

glądają bardzo nieciekawie i nieestetycznie. Popisy ich niczem mnie nie uderzają, ocenić mi ich nie pozwala wstręt nieprzeparty do sportów atletycznych. Z łapczywością rzucają się na srebrne pieniądze, sypane przez Szacha, który w otoczeniu koła dworzan patrzy na ich zapasy z drugiej, bliższej galeryi.

Oprócz tego głównego, publicznego Salamu, są jeszcze dwa inne, na które profani nie mają dostępu. Pierwszym z nich jest Salam dyplomatyczny, gromadzący przedstawicieli europejskich legacyj; najdawniej przebywający w Persyi z ministrów zagranicznych występuje na nim z przemową. Na drugim Słalamie przyjmuje szach urzędników rządowych europejskich, a więc profesorów Collège Imperial, instruktorów wojska, doktorów. Szach rozdaje wszystkim jedwabne woreczki, pełne drobnych srebrnych monet, cienkich jak blaszki, zdobnych w liry i słońca. Zawartość całkowita każdego woreczka wynosi „toman” (5 franków); zrealizowaćby się wszakże nie dała, gdyż składające się na nią pieniądze nie są używane w obiegu.

Obyczaj ofiarowywania w upominku wartościowych i niewartościowych monet szeroko jest w Persyi rozpowszechniony. Nasr-Eddin w chwilach dobrego humoru wyrażał dworakom swe najwyższe zadowolenie, rozdając na prawo i na lewo złote monety 20, 10, 5 i 2½ frankowe, ozdobione z jednej strony jego pokrętnemi wąsami, z drugiej napisami perskiemi. Swemu faworytowi, smutnej sławy Azi-Sułtanowi, 13 czy 14-letniemu chłopcu przegniłej

i odpychającej postaci, o rozlanej twarzy i chorych zapłakanych oczach, codziennie, w dodatku do bogactw, jakimi go obsypywał, ofiarowywał parę garstek złota.

Historya tego Azisa zasługuje na wzmiankę, bo ciekawą jest jak bajka. Siostrzeniec głównej klucznicy, czy szafarki enderumu królewskiego, Azis odegrał wypadkowo i biernie, przez sam fakt swej obecności, opatrnościową rolę wobec monarchy, któremu groziło niebezpieczeństwo. W zabobonnej duszy wschodniego władcy zrodził się odtąd przesąd, że losy jego istnienia ściśle są z losami Azisa związane i nić życia się przerwie, gdy zabraknie Azisa.

Więc pielęgnował go, psuł, darzył bogactwami i zaszczytami. Faworyt miał z natury najgorsze instynkty: z dzikiem okrucieństwem strzelał do żołnierzy i uśmiercał ich, wypróbowując przymioty nowej broni. Orgie, pijatyki i wszelkie nadużycia zrujnowały go fizycznie w dzieciennym prawie wieku. Szach na nic nie zważał, przebaczał haniebne skandale, nie rozstawał się prawie ze swym Azisem, córkę własną dał mu za żonę. Nie pomogło to przeciw przeznaczeniu, które uzbroiło rękę Mirza-Rezy; Nasr-Eddin znalazł śmierć w Szah Abdulasimie <sup>1)</sup>, a Azis zdrów i żywy pozostał, tylko po tragicznym zgonie dobroczyńcy musiał niezwłocznie opuścić Teheran,

---

<sup>1)</sup> Miejsce pielgrzymki, do którego chodziła wzmiankowana wyżej kolej.



gdzie obmierzła jego postać wszystkim była wstrętną i nienawistną. Ma jednak czem osłodzić gorycz niełaski i łzy żalu obetrzeć: z hojnych darów królewskich zebrał pokaźną fortunę.

Wracam do obyczaju darzenia monetami. Wpadłam w niewymowne osłupienie, gdy po raz pierwszy któryś z synów ministra oświaty ofiarował mi z uprzejmym uśmiechem złotą monetę. Dwa lata pobytu w Persyi odzwyczaiły mnie od dziwienia się tym prezentom. Jest to zwyczajna towarzyska grzeczność, którą Persi praktykują zarówno wobec mężczyzn, jak i kobiet. Dawanie złotej monety o tyle jest zrozumiałem, że w obiegu monet tych nie ma wcale. Ale w składach wekslowych bazaru, lub u licznych nawet bankierów, tych imponujących karaułów, rozkładających swój kantor zamienny na sponiewieranej szmacie przy rynsztoku, można ją wymienić z łatwością na monetę bieżącą.

Szach daje oczywiście i wspanialsze od garstek złota podarki. Najczęściej, w dowód uznania i monarszej łaski, ofiarowuje dostojnikom perskim lub „frengei,” którzy położyli wobec niego zasługi, rasowe wierzchowce, zamiast „gulami” stajenni przyprowadzają często wynędzniałe szkapy. Fantazyja koniuszych i rozlicznej pałacowej służby kieruje się sytuacją społeczną obdarowanego i wysokością „piskieszu,” jaki odeń otrzymać mogą. Koniom, przysyłanym w darze przez monarchę, farbują — nie wiem z jakich przyczyn — ogon na czerwono.

Jak samowolnie rozporządza się służba pałacowa, świadczy o tem poniższa, autentyczna histo-

rya. Mohammed-Szach, pierwszy król z dynastji Kadzarów, chcąc wyrazić pewnemu europejskiemu malarzowi swe zadowolenie z wykonanego przezeń portretu, rozkazał posłać mu konia. Czterech „gulamów” przyprowadziło więc do artysty z wielkimi honorami stare okulałe zwierzę. Lecz służący jego, znając swych współrodaków, wybuchnął na widok biednego Rossynanta potokiem najstraszliwszych obelg i odmówił stanowczo przyjęcia go do stajni swego pana. „Gulami” wysłuchali wymysłów z największą flegmą i zawrócili z kulejącą szkapą do stajen królewskich. Po paru godzinach zjawili się ponownie z bardzo pięknym wierzchowcem i pokorną miną ludzi przeświadczonych, że obdarowany „frenghi” musi być ważną figurą, jeśli jego służący obszedł się z nimi tak obcesowo. W tej anegdocie maluje się cały Pers dzisiejszy, tak jak Pers z przed wieku i z przed wieków: podstępny i przebiegły, a zarazem bezgranicznie naiwny.

Ofiarowuje jeszcze szach wiernym swym poddanym tak zwane „kalaaty.” Nie zdaje mi się, by tym prezentem obdarzani byli „frenghi.” Najzwyczajniejszy „kalaat” polega na zwierzchniej sukni z mniej lub więcej cennej materji, okładanej sobolami. Kompletny „kalaat” przedstawia się o wiele bogaciej, składa się nań suknia, złoty łańcuch, sztylet lub szabla, drogie futra. Niewiele rzeczy zmienia się w Persji z biegiem czasu, obniża się wszakże skala hojności monarszej i takie „kalaaty” stają się coraz rzadsze.

Oto jak opisuje Morier (*Second voyage en Per-*

se 1816) uroczyste wręczenie przysłanego przez Fet-ali-szaha „kalaatu” wielkorządcy Szirazu z okoliczności Nowego Roku. Kalaat to był okazały i kompletny. „Zwykły „kalaat” — mówi Morier — składa się z długiej zwierzchniej sukni, pasa i szala perskiego. Chcąc wyróżnić szczególnie obdarowanego dostojnika, dołączają do tych przedmiotów szablę lub kindżał, wreszcie, dla osób wysokiego bardzo rodu, drogocenne futra. Lecz gdy kalaat jest całkowity monarcha daje jeszcze konia o złotej uździenicy złoty łańcuch i szablę w złoczonej pochwie.”

Taki mniej więcej kalaat otrzymał był ongi książę Szirazu. „Wystrzały armatnie i dźwięki trąb zwiastowały nastąpienie tego dnia pięknego. Książę Szirazu wyróżniał od otaczającej go świty wielki parasol, nad głową rozpostarty, przywilej przy-sługujący książętom krwi. Na przestrzeni trzech mil angielskich droga zarzucona jest kwiatami, podobne honory świadczą jedynie osobistościom, zajmującym wybitne stanowisko. Butelki cukru (?) rozpryskują się wciąż pod nogami książęcego rumaka; sypanie pod nogi cukru jest symbolem szacunku, jaki się żywi dla kogoś, i szczęścia, jakiego mu się życzy” <sup>1)</sup>).

Obecnie król nie tyle rozdaje, ile otrzymuje podarki. A słusznie zupełnie nad błahość cennych drobiazgów przekłada realną marność metalu. Więc,

---

<sup>1)</sup> Cytaty czerpane z Morier'a.



gdy przypadkiem zbywa mu na drobnej monecie, a nie chce naruszać nagromadzonych skarbów, zapowiada któremu z potentatów zaszczyt swej wizyty. Honor ten, oprócz kosztów podejmowania monarchy wraz z jego liczną, złożoną z osób dwustu lub trzystu świtą, zaznacza się jeszcze w kieszeni wybranego deficytem kilkunastu tysięcy franków, który ofiarowuje na wspaniałej tacy i w pokornie zgiętej pozie swemu panu i władcy, jako skromny „pizkier” (prezent) za łaskę, która w tym dniu na dom jego zstąpiła. Wyobrażam sobie, jak w tej przemowie do słońca Iranu rozsuwają się kwieciste i miodopłynne frazesy, wiele tam powtarza się „male men-male szuma”<sup>1)</sup>, tym razem musowo szczerych.

Gdy króla królów podejmują jego poddani, obiadauje sam jeden w oddzielnej sali. U innych, czy u siebie w swych pałacach, szach nie dopuszcza nikogo do zaszczytu zasiadania z nim do stołu. Nie robi w tem wyjątku nawet dla dyplomatów cudzoziemskich. Gdy przed 7-iu laty miało święcić jubileusz Nasr-Eddina, członkowie legacyj europejskich zaproszeni zostali na wielki obiad. Lecz szach w innej, oni w innej jeść mieli sali. Dodam, że Nasr-Eddin nie uznawał zbytńo stołów i wolał spożywać swój posiłek spokojnie po persku, zasiadłszy na haftowanych złotem materacach, lub jedwabnych dywanach i posługując się przy jedzeniu głównie palcami. Po skończonym

---

<sup>1)</sup> Co moje, to twoje.



Derwisze w drodze.  
<http://rcin.org.pl>

obiedzie i wymyciu rąk obcierał je codzień nowym kosztownym szalem wschodnim.

Na odległości, oznaczonej ceremoniałem, otaczają króla dworzanie, oficerowie, ministrowie, książęta krwi. W dowód szczególnej łaskawości obdarza czasem szach kogoś z tej świty udkiem lub skrzydełkiem kury, które szczęśliwy wybraniec losu spożywa z oznakami niewymownego zachwytu. Nikomu w obecności monarchy usiąść nie wolno i wszyscy —nie potrzebują tego zaznaczać—są bez obuwia, Za względnie niedawnych jeszcze czasów europejscy nawet posłowie zmuszeni byli je zdejmować, zjawiając się przed obliczem króla królów. Morier, wraz ze swym ambasadorem, jakkolwiek ten ostatni pochodził z wielkiego rodu, nie uniknęli tych wymagań dworskiej etykiety. „Gdy dojrzeliliśmy króla (Fet-ali-szaha), złożyliśmy mu z szacunkiem nakazane przepisem pokłony; poczem, zatrzymawszy się o 30 kroków od niego, porzuciliśmy nasze obuwie.”

Te bałwochwalcze formy zewnętrznych stosunków władcy do wiernopoddanych, tak różniące się od wielkiej prostoty tychże stosunków, w którą chętnie ubiera się dziś potęga monarchów Europy, nie razi zbyt na Wschodzie, przesadnym we wszystkich przejawach życia, konsekwentnym zresztą w tej czci prawie boskiej z pojęciem, jakie wiąże do wszechwładztwa. Czy można i należy odnosić się inaczej do bieguna wszechświata, króla królów i cienia Boga?

Dary dawane i przyjmowane przez króla odwiodły mnie daleko od przedmiotu, od świąt oby-



czajowych, z których jedno zasługuje jeszcze na pobieżne choć wspomnienie. Jest niem święto wielbłąda, obchodzone, o ile pamiętam, w październiku. Dnia tego na placu Nigaristanu, przed drugim miejskim pałacem monarchy, zabijają wielbłąda na pamiątkę ofiary Abrahama. Mięso tego zwierzęcia jest święte i każdy pragnie zdobyć choć najmniejszy jego kąsek.

Poprzedzony przez muzykę wojskową, z tryumfem go na zagładę prowadzącą stąpa wielbłąd, przybrany w drogie czapraki, haftowane złotem i obszyte jedwabną frendzlą; na głowie kołysze mu się bogaty pióropusz.

Nie wiedząc, co go czeka, biedny wielbłąd kroczy wolno, majestatycznie i godnie pomiędzy dwoma rzędami żołnierzy. Za nim, odziany równie jak on wspaniale w brokаты i aksamity, idzie z długą lancą „Szach-zadeh” <sup>1)</sup>, któremu przypadł w udziale nieprzyjemny zaszczyt zabicia wielbłąda. Dalej znów ciągnie wojsko.

Obszedłszy prawie całe miasto, orszak zatrzymuje się wreszcie na placu Nigaristanu. Szah-zadeh rani śmiertelnie zwierzę swą włócznią, reszty dokonywają rzeźnicy, ćwiartując i krając drgające jeszcze zwłoki. Lud rzuca się na nie, szarpiąc i wrywając sobie krwawiące szmaty mięsa, zaledwie książe zatknął na ostrzu lancy pierwszy jego kawałek, by ponieść go w otoczeniu orszaku i wojska monarsze

---

<sup>1)</sup> Książe

zasiadającemu w Talarze, na marmurowym tronie,  
w apoteozie blasku i potędze dni uroczystych.  
I znów przemawia król, przemawiają dygnitarze,  
mułowie i poeci.

Tak się odbywa Salam święta wielbłąda.

---

## XI.

Główny pałac królewski.—Tron pawia.—Nigaristan.—Pałac wielkiego wezyra.—Drogi Szimranu i podmiejskie rezydencje szacha.—Doszan-tepe.—Kasz-i-Kadzar.—Eszret-abbat.—Ogród Kameranich.—Czeszmeh-i-aly.—Szah-Abdulazim.—Ruiny Ragesu.

Pałac królewski i otaczające go zabudowania monarszego enderumu rozrzucone są niedaleko od europejskiej dzielnicy, w zieleni Gulistanu, na szerokiej, równej przestrzeni pomiędzy Majdani-To-phaneh i bazarem. Zwiedzać je można za specjalnem upoważnieniem. Zato do podmiejskich zamków dostęp jest zupełnie swobodny, o ile szach w nich na razie nie przebywa; niejednokrotnie też rozkładaliśmy wesołe śniadania i podwieczorki na trawie, w ogrodach letnich rezydencji króla.

Budynki, z których składa się główny pałac teherański są niewypowiedzianie bezstylowe zewnętrznie; w okalających je murach ogrodu tkwią zabawnie naiwne majoliki, których widok rozproszyć może najczarniejszą melancholię. Patrzą z tych murów postacie wojaków o kostyumach i kolorach



równie nieprawdopodobnych, jak rozpaczliwie krzykliwych. Twarze mają pucołowate, oczy bezmyślne i nastroszone na pół łokcia wąsy. Dziwić się wprost należy, że Persya, uprawiająca sztukę majoliki z głębokim artyzmem, pozwoliła umieścić w królewskich ogrodach podobne karykatury. Jedyną ich zaletą jest, iż pobudzają do szczerego śmiechu i prowadzą w wesołym nastroju do przybytku króla królów.

Mówiłam już obszernie o przepięknej sali tronowej i o tronie marmurowym. Władcy Persyi posiadają inny tron jeszcze, najwięcej pewnie oryginalny z istniejących ogólnie, barbarzyńsko wspaniały i oślepiająco pyszny. Nadir-Szah (1684 — 1747), wielki wojownik, który rozniósł szeroko sławę perskiego oręża, zdobył go był w Indyach, krainie fantastycznych bogactw. Tron należał do Wielkiego Mongoła <sup>1)</sup> Delhi, miasta Pendżabu, położonego na jednym z dopływów Gangesu, Delhi, słynnego w całej historyi Indyj, teatru bohaterskich czynów i niezliczonych wydarzeń Kriszny, opiewanych w 250 tysiącach wierszy Mahabharaty, tej Iliady indyjskiej. Stolica Wielkiego Mongoła jest obecnie jedną z pereł korony królów Anglii — niepodległość polityczna nie była zapisana Indusom w wyrokach boskich. —

---

<sup>1)</sup> Indye, zawojowane w XI-ym wieku przez Mahmuda Gaznewida, króla Iranu, odbite zostały Persyi przez Mongołów, których władcy pod mianem Wielkich Mongołów z Delhi nad krajem panowali.

Tron ten zwie się tronem pawia *Tachti-Taurus*. Czy jest z marmuru? Trudno to powiedzieć, gdyż pokryty jest całkowicie warstwą ciemnego złota, od którego tła odbija mozaika różnobawnych kamieni. Poręcze, plecy, boki, samo krzesło trronowe, wszystko lśni się, iskrzy i mieni gamą tonów i blasków, płynących od tej powodzi brylantów, szmaragdów, rubinów, pereł, szafirów, turkusów.

W głębi, na tylnem oparciu, kwitła wielopromienne brylantowe słońce, a z dwóch stron jego dwa pawie rozpościerają błękitno-zielone wachlarze swych ogonów, w których lży wielkie szafirów migocą w aureoli szmaragdów.

Na tym barbarzyńskim a' pięknym tronie posadziłabym ukochaną przez Harum-al-Raszyda cūdną Zobeidę, lub jeszcze Irenę, cesarzową dekadencji byzantyńskiej, w sztywnych sukniach ze złotogłowi, w hieratycznych klejnotach: łańcuchach, krzyżach, dyamedach i opaskach z ciężkiego złota, jaśniejących potworną wspaniałością kamieni—Irenę, o twarzy wybielonej i wyróżzowanej, o oczach lilią koholu przyciemnionych, o ustach krwawiących karminem, istotę niepokojącą, tajemniczą, dziwną i olśniewającą. Bo tron to dla takich bożyszcz.

Tachti-Tawus wznosi się w głębi wielkiej sali rady stanu i odedrzwi już wzrok uderza swym niesłychanym, przynębiającym przepychem.

Tevernier, podróżnik, który zwiedzał był państwo Wielkiego Mongoła w początku XVIII-go wieku, widział tron pawia w Delhi i ocenił go na 150 milionów franków. Wartość jego jest, mojem

zdaniem, stanowczo wyższą; stanowi on w swym rodzaju rzecz jedyną, na którą niema ceny.

Nasr-Eddin lubił się na tym tronie fotografować, a Fet-ali-Szah niejednokrotnie kazał się na nim swym malarzom uwieczniać.

Gdy przed tym zadziwiającym klejnotem stało się chwil parę w niemym zachwycie, sala rady państwa, która go mieści, wydaje się nagle oku nieznacznie banalną. Zbyt wyłączone zdobią je fotele, zbyt nowe i bogate brokaty. Cała jest biało-złociста i cała w lustrach, ujętych w złoczone i rzeźbione gipsy.

Obszerne salony pałacu zasłane są przeważnie wielkimi dywanami o nie zrównanie pięknych tłach i deseniach; na nich, rzucane jak kwiaty, mniejsze, jedwabne pieścą wzrok miękką barw harmonią. Nasr-Eddin, z jednego do drugiego pałacu i z jednej do drugiej sali wędrujący, rozkładał na nich swe koczownicze obiady.

Zmarły szach po trzykroć zwiedzał Europę, gościł u wszystkich jej monarchów i we wszystkich stolicach. Mógł podziwiać skarby sztuki, nagromadzone w kolekcjach królewskich i arcydzieła muzeów, któremi chlubi się miast tyle. Mógł wyrobić sobie smak i gust przy najslabszem choćby wrodzonym poczuciu piękna. Lecz niestety. los skarał go widocznie całkowitym zanikiem zmysłu estetycznego. I nigdy, przenigdy król ten, panujący nad krajem, którego stara cywilizacya i kultura przekazały wspaniałe wzory do naśladowania współczesnym artystom Iranu, nie nabył jednego



obrazka, jednej rzeźby, któreby nie raziły bezgraniczną pospolitością.

Opłakane są te pozwożone z Europy nabytki,

Cała nędza jej groszowych bazarów, krzykliwa wulgarność kolorowych szkieł, kwiatów sztucznych, ordynarnych kryształów, potworne imitacje sewrskich i saskich porcelan, puciołowate twarzyczki markizów i osłupione pasterki, zabawki dziecinne, wazony różowe, szafirowe, czerwone, powyżlacane i malowane. Czego tam nie ma? Czy istnieje jakie tanie szkaradzieństwo, na któreby nie padł ciekawy i żądny zakupów wzrok monarchy? Ta wystawa okropności, rozłożonych za witrynami wzdłuż ścian uszykowanemi, przejmuje odrętwieniem, przerażającym się wkrótce w śmiech niespodziewany.

Z drugiej strony tejże, a raczej tychże sal, bo wiele z nich bezczeszczą te bezceństwa, ustawiono za kryształowemi szybami gablot i na stołach dary różnych monarchów; mrożąco sztywne Sèvres, ofiarowane przez Napoleona III-go, wazony malachitowe, dar cesarza Rosyi, przepiękne staroświeckie porcelany chińskie i japońskie, kryształy weneckie, kilka stołów wykładanych cennej roboty mozaiką. Wątpię, czy kiedykolwiek oko monarchy spoczęło na tych przedmiotach. Ale nieraz z pewnością podziwiał dwa zegary, dar kompanii indyjskiej, które przejmują mnie dreszczem zgrozy: na złotych postumentach wznoszą się złote pawie, ruszająco skrzydłami, gdy biją godziny; jednocześnie, łożem z dronzu płynie srebrny potok.

Tenże absolutny brak poczucia artystycznego uderza w galeryi obrazów.

Pełno tam miernot, poskupowanych chyba na tandetnych wyprzedażach hotelu licytacyjnego paryskiego. I pełno—w szerokie złote ramy ujętych arcydzieł nadwornego „Nakasz-bassi” <sup>1)</sup>, uwieczniających różne fantazyje królewskie, a przeważnie sny Nasr-Eddina. Monarcha, jak widzę, miewał wizye wesołe.

Na naiwnych, seledynowo-zielonych pejzażach uwijają się w płasach korowody tancerek i to nie perskich wykonawczyń drgań suggestywnych, mianowanych tańcem, lecz europejskich baletniczek z obnażonemi, i to bardzo, ramionami.

Jakkolwiek Nakasz-bassi, którego dość często mam okazję spotykać, jest dobrym, miłym i uprzejmym człowiekiem, stwierdzam z żalem, iż talent jego malarski pozostał na równie pierwotnym stopniu rozwoju, jak estetyzm jego władcy. Jego baletnice zdają się mieć uwiązane u nóg ołowiane kule, suknie ich z ciężkiej mazaniny, w niczem nie przypominają powiewnością muślinów, ciała stężale są w sztywnym ruchu. O rysunku, linii, perspektywie mowy nie ma oczywiście.

Nasr-Eddin, jak wszyscy Persowie, uważał dekoltowanie ramion za szczyt nieprzyzwoitości, za najwyższy dowód niemoralności kobiet europejskich. Jednak wzrok obywateli Iranu szuka chętnie tej nieprzyzwoitości, którą dusza potępia. Trudno

---

<sup>1)</sup> Malarz

przedstawić sobie nagromadzenie większej kolekcji dekoltażów nad te, jakie zdobią ściany licznych salonów pałacu. Nie dość snów króla i wyobraźni Nakasz-bassi; pełno tu jeszcze chromolitografii, drzeworytów, wyobrażających lekko przybrane wdzięki rozmaitych sław *corps de ballet* i koryfeuszek.

Jednak w tej mierności iskrzy się kilka pereł; są wartościowe płótna szkoły flamandzkiej, są prześliczne gobeliny, przysłane przez Ludwika-Filipa Mohammed-Khanowi, są mozaiki artystyczne, dar papieża, są stare perskie malowidła szkoły ispańskiej oryginalnego rysunku i ciekawej roboty, nakładane niesłychanie delikatnie barwami i złotem, jak średniowieczne *enluminures*, lub obrazy prymitywów.

W jednym z aiedawnych opisów podróży po Persyi (*Le Caucase et la Perse. Orsolle*) czytałam o ciekawym globusie ziemskim, który jakoby umieszczony jest w oranżeryi. Albo go już ztamtąd usunięto, lub też nie widziałam tej sali.

Globus wykonany został dla Nasr-Eddina z masywnego złota, na którem oceany, wyspy, lądy znaczą się drogocennemi kamieniami. Morza są szmaragdowe, Indye z ametystu, Afryka z rubinów, Persya z turkusów, Anglia i Francya z brylantów. Zabawka owa kosztowała króla 8 milionów franków, pomimo, że dostarczył większej części kamieni.

W jednym z pałaców przechowywano dawniej—widzialne dla zwiedzających—klejnoty skarbu: korony, berła, dyademy, potoki pereł, przepysz-



ny brylant, noszony przez szacha na lewem-przedramieniu w dniu przyjęć solennych, żółtą jedwabną suknię Fet-ali-szacha, naszywaną olbrzymiemi perłami przeczystego blasku, mundury galowe innych szachów. Lecz przed laty może dziesięciu zaszła kradzież, wskutek której zamknięto klejnoty w pewnem i bezpiecznem miejscu.

Zewnętrzna dekoracya niektórych salonów jest w guście europejskim, przeważnie jednak widać ściany i sufity ozdobione kryształami i rżniętymi lustrami.

Barbarzyńskie to nieco w zbyt błyskotliwej świetności, ale daje niezapreczenie wrażenie dość estetyczne; niezliczone załamy ścian lustrzanych, szlifowanych w pełne fantazyi formy, ujęte są w bardzo udatnie pomyślane kapryśne arabeski sztukateryj gipsowych.

Druga miejska rezydencya szacha, Nigaristan, rzadka posiada w swych murach władcę, który przekłada nad nią swe podmiejskie zamki.

W ogrodzie, otaczającym ten pałac, wznosi się na skrzyżowaniu kilku alei ów wyzłocony Nasr-Eddin na wyzłoconym koniu, za które to dzieło sztuki mułlowie się na zbyt postępowego króla obruszyli.

Nigaristan był ulubionem miejscem pobytu Fet-Ali-szaha.

Bardzo interesujące freski zdobią ściany głównej sali pawilonu, w którym monarcha przesiadywał najchętniej. Przedstawiają one Fet-Alego na tronie w całym splendorze szat okazałych, lśniących

od klejnotów, opartego o haftowane perłami poduszki i palącego sakramentalny kaljan. Rozłożysta czarna broda okala twarz surową i ostrą. Dwunastu najstarszych synów króla, brodatych jak ojciec, stoi z dwóch stron jego w sukniach naszytych szlakami pereł.

Synowie ci nie przynosili wogóle rodzinie Kadzarów wielkiego zaszczytu. Historia i kronika opisuje ich jako drapieżników, wyzutyh z wszelkich skrupułów i plamiących marnemi oszustwami i handlami sławę imienia.

O jednym z nich cytują następującą anegdotę:

Przysłał on był w prezencie pewnemu podróżnikowi inkrustowany złotem puklerz stalowy, dość rzadkiej roboty. Lecz po paru dniach zjawił się u niego nazir (zarządzający) księcia, żądając za puklerz 300 tomanów, które w owej epoce przedstawiały 3,000 franków. Podróżnik odmówił wypłacenia kwoty i szczególny podarek wrócił do swego posiadacza.

W parę dni później sam książę odwiedza biednego cudzoziemca, którego postanowił obłupić i dziwi się, że puklerz został mu odesłany.

— Daj mi sto tomanów, a natychmiast ci go przyślę, przytem należy już do ciebie (*male szuma*) prosiłem cię, byś go przyjął, jak wszystko zresztą, co posiadam.

Książę stu tomanów nie otrzymał i puklerza, rozumie się, nie przysłał. Całe lekceważenie swego słowa i swych obietnic jest w tym drobnym fakcie,

który się na obszarze Persyi powtarza codziennie w niezliczonych przejawach od wieków już, od Cyrysa, czy od Daryusza...

Rdzeń charakteru narodowego pozostaje niezmienny po przez czasy. Zastanawiam się tylko, po co obywatele Iranu kształcono, jak twierdzi Herodot, od 5 do 20-go roku życia w mówieniu prawdy? Nie nauczyło ich to nawet poszanowania dla danych przez się przyrzeczeń.

Do zacienionego wiekowemi platanami ogrodu Nigaristanu częste odbywałam spacery. W nim to uderzył mnie po raz pierwszy najzupełniejszy brak skrupułów „*bagh-banów*”<sup>1)</sup>, którzy spokojnie ogałają klomby z najpiękniejszych nieraz kwiatów, wiążą je dość niefortunnie w bukiety i ofiarowują zwiedzającym ogród *hanum-frengi*. Rozumie się, że czuliby się mocno dotknięci, gdyby ta uprzejmość — kosztem ich panów — nie została opłacona hojnym *piszkieszem*.

Mają również zwyczaj częstowania melonem, herbata; czasem w kobiałce, uplecionej z łoży wierzbowej, a wyłożonej winnym liściem, przynoszą młode ogórki, sałatę, owoce. Zadziwiają przytem chronicznem niezadowoleniem z otrzymanego datku: choćby najsuciej ich wynagrodzono, zachowują minę obrazonej godności, nie dlatego, by godność należała do liczby ich przymiotów, lecz że trzymają się zasady ukrywania zadowolenia w nadziei otrzy-

---

<sup>1)</sup> Bagh-ban — ogrodnik.



mania przy nowej sposobności większego jeszcze „piskieszu.”

Za najpiękniejszą z pomiędzy rezydencyj dostojników korony uchodzi w opinii Persów pałac Sadrah-Azama (wielkiego wezyra), zbudowany według planów improwizowanego architekta Francuza, przebywającego od lat wielu w Teheranie i szpecącego miasto w miarę sił i możliwości budowlami, mającemi pretensye do stylu i elegancyi. Poruczają mu również meblowanie tych pałaców, z czego wywiązuje się, wypełniając je szczytnie niegustownemi kapiącemi od złota konsolami, stołami, kanapami, fotelami, błyszczącemi lampami, mnóstwem żyrandoli i otchłanią szkieł różnokolorowych.

Jakkolwiek wielkiemu wezyrowi (ostatnio wpadł w niełaskę) nie można odmówić inteligencji, a szczególnie sprytu dyplomatycznego, czyniącego zeń męża stanu w całym słowa tego znaczeniu — niepodobna przyznać mu najslabszego wyrobienia smaku.

Z pałacu jego wyszłam zmęczona i przygnębiona. Olbrzymie salony o ornamentacyi europejskiej, wypełnione są najcałkowiciej bezstylowemi meblami. Nagromadził w nich najpospolitsze brzozy, najordynarniejsze terrakoty i kryształ, niebotyczne bukiety sztucznych kwiatów. Na wielkim stole jednego z salonów rozłożono setki kobiecych fotografii, pozwożonych z podróży po Europie, a zaopatrzonych w dedykacye i podpisy. Znajduję kilka polskich nazwisk. Nie powiem, by przyjemność sprawiło mi to odkrycie. Nieostrożne daw-

czynnie widocznie nie zdają sobie sprawy z niezmiernie pogardy, jaką w głębi duszy żywi azyata perski dla kobiety wogóle, a dla europejki w szczególności.

*Sir-remini* (piwnice) pałacu, obszerne, widne, wykładane jasnym marmurem, służą za galerię obrazów. Wzdłuż ścian ponalepiane setki i tysiące chromolitografij i rysunków, powycinanych przeważnie z illustrowanych dzienników angielskich. Wszystko się tu miesza ze wzruszającym eklektyzmem: portrety monarchów, karykatury, obnażone ramiona i muślinowe spódniczki baletnic. *Nakasz-bassi* nadworny pracuje równie często dla Sadrad-Asama, jak dla monarchy. Daje to miarę wartości zbiorów.

Przyjemnie wydobyć się ze szkaradnych salonów i z pomsty do nieba wołającej galerii, by wyjść do ogrodu rozległego, starannie utrzymywanego, zakwieconego. Wiosną spędzamy w nich częste godziny, gdyż podwoje jego dla wszystkich są otwarte, a położony w naszej dzielnicy, nawprost legacyi francuskiej i przy Derwazeh-Szimrani, najwięcej jest uczęszczanem z miejsc pieszych przechadzek.

.....

Tuż za bramą Szimrańską, do której, jak mówiłam, dążą dwie główne ulice europejskiej dzielnicy, a od której my zaledwie o paręset kroków mieszkamy, rozściela się wieś, a właściwie piaszczyste pustkowie.

Drogi Szimranu zamieniają się wiosną tylko

w cud zieleni i kwiecia; latem, jesienią i zimą byłyby smutne i jałowe, gdyby nie urok słońca, napawającego duszę pogodą i weselem, lejącego potoki fal świetlnych, kładącego pyszne blaski na góry, wrzynające się poszarpanemi szczytami w ciemny szafir nieba. Śnieżna korona Demawendu, najwspanialszego z brylantów Iranu, srebrzy się, iskrzy, mieni, płonie w słońcu. Powietrze ma tak dziwną przezroczystość i tak zbliża przedmioty, że wystarczy — zda się — rękę wyciągnąć, by dosięgnąć gór dalekich.

Wszystkie niemal drogi Szimranu prowadzą do pałaców szacha, które zmarły monarcha odwiedzał często z liczną świtą mężką i z kilkoma lub kilkunastoma ze swych małżonek, a wszystkie biegną ku podnożom Elbursu. Jakkolwiek królewskie pojazdy nieraz po nich suną, nie skłania to bynajmniej dygnitarzy, których zwierzchniej pieczy powierzonym jest staranie o utrzymywanie ich w porządku i całości, do jakichkolwiek dla nich względów. Zasypane są grudami kamieni i czernią się wybojami.

Na głównej z tych dróg, dążącej do wsi, zamieszkiwanych latem przez Europejczyków, a na której spotykam wciąż wielkiego wezyra i innych ministrów w otoczeniu sług i dworzan — panoszyła się przez całe dwa lata mego pobytu na środku drewnianego mostku wielka dziura, w której koń z łatwością mógł złamać nogę. Nigdy nie dokonano na mostku najmniejszych robót reparacyjnych, nawet w przewidywaniu wizyty szacha do leżących w tamtej stronie zanków. Sądzę, że obecny Wal-



liet zastąpi po najdłuższem jego życiu Muzaffer-Eddina, a wybój w moście pozostanie, jako wieczne świadectwo szczytnego niedbalstwa wszystkich „Irani.” Wiadomo ogólnie, że dojeżdżając do tego miejsca, należy zwalniać konia w biegu: stanowi ono znaną, przewidzianą i akceptowaną przeszkodę.

Mówiłam już, że zmarły szach, chętniej niż w miejskich swych pałacach, przebywał w rezydencjach, rozsianych na wsi okolicznej. Wewnętrzna jakaś gorączka gnała go z Teheranu do blizkiego zamku, ztamtąd znów do lasów Mazenderanu, gdzie namiętnie oddawał się polowaniu. Muzaffer-Eddin, chorowity, apatyczny, uśpiony, nie dzieli gustów ojca, na które gorzko się nieraz żalili dygnitarze, zmuszeni codzień stawać przed pańskim obliczem i wciągnięni obowiązkowo w koczownicze życie monarchy.

Jednym z ulubionych letnich zamków Nasr-Eddina był „Doszan-tepe” (góra królików). Wygląda on raczej na fortecę i wznosi się na górze dość stromej i wysokiej, o dostępie męczącym i nieogodnym. Należy doń rozciągający się na płaszczyźnie brzydki, niezacieniony, pozbawiony wszelkiej perspektywy ogród. Chroni się w nim droga sercu monarchy menażerya. Widziałam w niej bezgrzywe lwy Farsu, które, jak się przekonywam, nie są jeszcze mytem, są też tygrysy i pantery, jest odór nieznośny, menażeryom właściwy, który nie pozwala mi się przypatrywać dłużej drapieżnikom, zamkniętym za żelazną kratą.

Najwięcej malownicze jest położenie zbudowanego przez Fet - Ali - szacha zamku Kadżarów „Kasz-i-Kadżar.” Wznosi się ten zamek, jak Doszan-tepe, na wysokości, z której roztacza się przepiękny widok na Szimran i okolice Teheranu. Prowadzą doń ogrody, pnące się w górę całym szeregiem tarasów, poprzerzynane cichymi strumieniami, sączącymi wolno swe przejrzyste wody, zadrzewione, zacienione i melancholijne.

Najbrzydszym z pałaców jest „Eszret-abad”, zamek rozkoszy, przezwany wulgarnie a dobitnie kurnikiem. Zamek rozkoszy przedstawia się jak szkaradna, wyniosła dość wieża, otoczona wokół szeregiem niskich zabudowań, jednostajnych budek, zamieszkiwanych przez damy z enderumu, gdy je kaprys monarszy za sobą prowadzi. A że enderum królewski chronił zazwyczaj do 70-u małżonek, więc — jakkolwiek Nasr-eddin wszystkich ze sobą nie woził, zastosować jednak kazał ilość budek do liczby haremowych swych piękności. Nad każdą z nich rozpościerają swe promienie wielkie słońca o kobiecych twarzach, unoszące się nad lwami dobrodusznymi i groźnymi zarazem, o nastraszonych brwiach, z wojowniczo wzniesioną maczugą. W każdej budce są dwa pokoje, umeblowane pierwotnie dywanami i materacami. Persowie łóżek wogóle nie uznają, a ci nawet, których zaraziły mody Frengistanu i którzy sprzęt ten posiadają, nigdy zeń nie korzystają.

Mnóstwo jeszcze pałaców otacza miasto od strony Szimranu; Yusuf-abad i Sultaned-abad, Nedżef-

abad, Dao-Dieh i Niawaran, wysoko już w górach położony; zamek ten upodobał sobie szczególnie Muzaffer-Eddin dla przyjemnego chłodu, jaki tam panuje.

Pałaców tych opisywać dokładniej nie będę. Zeszepecono je prawie wszystkie ordynarnemi naleciałościami architektury europejskiej, ornamentacją, przypominającą salony wielkich hotelów, malaturami jarmarcznych artystów, świecznikami i wazonami, w których lubuje się dusza Persa i któremi zastawia on wszystkie konsolle i stoły. Szczęściem, że przechowały się jeszcze w każdym z nich prawie stare zabytki, arcydzieła sztuki ornamentacyjnej perskiej, śliczne mozaiki, majoliki i „hattemy” (inkrustacye kością słoniową, złotem i perłową masą), przepyszne szyby, a czasem i sklepienia ze szkielek kolorowych, których barwy harmonijnie się kojarzą i na których — lekkie i delikatne — wykwitają sploty zieleni i kwiatów. Po witrażach biegną, obramowując oddzielne szybki, niesłychanie misterne, wązkie linie rzeźb drzewnych. Ściany wyłożone są u dołu przezroczystymi marmurami z Yezdu i Denkerghanu, malowanemi w arabeski i kwiaty o barwach przyćmionych.

W innych pokojach wymalowano całkowicie mury we freski, przedstawiające sceny z życia obyczajowego. Patrzą z nich brodaci Kadżarowie w sukniach wązkich i obcisłych do pasa, u dołu rozszerzonych i sadzonych kamieniami. Fet-ali-szah zasiada majestatycznie na tronie, lub pędzi na białym czerwono-grzywym rumaku, kładąc trupem dziki i jelenie. Kobiety w balonowych spódniczkach,



o szerokiej twarzy, siedzą, zajadając oszirini, lub paląc kajlan; inne oddają się skandalicznie nieprzyzwoitemu flirtowi.

Parki, przylegające do pałaców, są wogóle ładne, o uroczystych cienistych alejach. Wszędzie szemrzą strumienie, biją wodotryski i szkli się w basenach, o dnie z turkusowej majoliki, woda kryształowo-przejrzysta. Ogrodnicy perscy nie znają sztuki grupowania odpowiedniego roślin i kombinowania barw. Lecz—jak wszyscy ich rodacy—lubią namiętne wonie ciężkie i upajające; to też uprawiają głównie kwiaty o zapachach zdecydowanych i silnych. Wiosną pełno w ogrodach hyacyntów i narcyzów, latem róż, jesienią tuberozy, którą Persowie nad wszystkie kwiaty przekładają i zwą poetycznie „gul Meryem” (kwiat Maryi).

Ponad wszystkie ogrody—nie wyłączając Gulistanu—stawiam wielki park w Kameranieh, rezydencji księcia Naieb-Saltaneh<sup>1)</sup>, o kilkanaście kilometrów od miasta położonej. Ogród ten wygląda na olbrzymią cieplarnię, tak roślinność tam jest wybujała wspaniale, a całe jego urządzenie przynosi zaszczyt ogrodnikowi Francuzowi, który nim się zajmuje.

Przepyszne palmy różnych odmian: latanie, draceny, feniksy rozkładają szeroko liści swych wachlarze; ogromne jukki z ciężkim, białym kwiatem, kanny czerwone, białe, różowe, wielkie krzaki, naj-

---

<sup>1)</sup> Brat Muzaffer-Eddina.

rzadszych i najpiękniejszych róż, jakie w Persyi widziałam. Pełno w ogrodzie cienia, woni i chłodu, wiejącego od gąszcza drzew i od jasnej tafli basenów. Biały pałac znaczy się jasną plamą na ciemnem tle zieleni. Przed bramą wjazdową słudzy oprowadzają ciężko i poważnie stąpające słonie: jest ich pięć czy sześć—fantazyja księcia, który z wielkim kosztem sprowadził je z Indyi.

Oprócz królewskich i książęcych pałaców, dwie jeszcze miejscowości służą za cel przechadzek i wycieczek. Są niemi fontanna Alego: Czeszmeh-i-Aly i ruiny miasta Rey.

Fontanna Alego, to właściwie niewielki staw, zbiornik wody źródlanej, ze skał otaczających bijącej. Na prostopadłej i gładkiej ścianie jednej z tych skał wryto portret któregoś z Sasannidów i otoczono go napisami. Fet-ali-szah, odczuwający nieposkromioną potrzebę uwiecznienia swej postaci na wszystkich gmachach, frontonach i murach, nakazał zatrzeć napisy i postać swego poprzednika, a natomiast wryć swój wizerunek.

Czeszmeh-i-Aly blizkiem jest słynnego meczetu Szah-Abdulazim, miejsca pielgrzymki licznych tłumów. Naokół meczetu wyrosło miasteczko, czyste i ładne, w zieleni drzew ukryte. Pobożni ciągną tu, by spełnić obowiązek religijny, a zarazem użyć rozrywki i spaceru. Kobiety szczególnie, korzystające ze wszystkich sposobów wyrwania się z enderumu, gorliwie uprawiają wędrowki do świętych przybytków, a przeważnie do blizkiego stolicy Szah-Abdulasimi. Najsurowszy nawet mąż pozwolenia

na taką wycieczkę odmówić nie może. By skuteczniej uzyskać opiekę Imamów, modlą się hanum gorąco u ich grobów po dni kilka i kilkanaście, a w chwilach wolnych zawiązują miłosne intrygi.

. . . . .

O dziesięć zaledwie kilometrów od Teheranu wznoszą się smutne ruiny, zdające się patrzeć na cmentarzysko Giebrów, wielbicieli ognia. Resztki muru obronnego i dwie nawpół zwalone wieże są wszystkim, co pozostało z chwały i świetności antycznego Rhagesu, jednego z największych miast starożytności. Rhages, przechrzczone przez Muzułmanów na Rey, należy do miast, których początki toną w mgłę prawieków.

Przez czas dłuższy po zawojowaniu Persyi przez Omara Rhages był jej stolicą, a między 900-ym a 1000-ym rokiem naszej ery słynął jako najpotężniejsze, najbogatsze i najludniejsze miasto całej Azji. Urodził się w niem Tobiasz, bohater opowieści Starego Testamentu, wielki halif Harunal-Raszyd, wreszcie Zoroaster, twórca doktryny religijnej, wychodzącej z pojęcia walki Zła i Dobra, których symbolami są Ormuzd i Aryman, a którą do czasów zaboru muzułmańskiego wyznawała cała Persya.

Wobec tych żalonych ruin nie widzę lepszej ilustracyi do rozmyślań nad upadkiem i znikomością potęg ziemskich. W IX-ym wieku chrześcijańskiej ery—jak utrzymuje Chardin—miasto podzie-



lone było na 96 dzielnic, z których każda posiadała 46 ulic, każda ulica 400 domów i 10 meczetów. Miasto posiadało przytem 6,430 szkół, 16,000 hammamów, 13,000 karawanserajów. Autorzy arabscy twierdzą, iż w III-im wieku Hegiry (odpowiadajacemu IX stuleciu naszej ery) Rey było najludniejszym miastem Azji; zdaniem ich żadne—poza Babylonem—miasto nie posiadało takich bogactw i równej potęgi. Ztąd nazwy, jakie mu nadawała historia: „Pierwsze z pomiędzy miast, Wrota wrót ziemskich, Rynek Wszechświata.”

Z tego przepychu i z tej wspaniałości nie pozostały nawet rumowiska i kamienie. W roku 1221-ym nad miastem, liczącem jeszcze w owej epoce 700,000 mieszkańców, przeszły barbarzyńskie hordy Czingis hana, znacząc swe ślady pogromem i pożogą, pustką i zniszczeniem.

Moner widział jeszcze w 1813 roku zwaliska zamku, uczepionego u skały. Na jednej ze ścian, wykutych w gładkim kamieniu, znajdowała się—według jego opisu—pierwotna rzeźba, datująca z przed zaboru muzułmańskiego—wojownik, pędzący konno z wyciągniętą naprzód dzidą i dźwigający na głowie i ramionach wielkie kule.

Wątpię, czy te ruiny istnieją po dzień dzisiejszy. Ja widziałam tylko dwie zwalone wieże, sterzące smutnie w jałowym krajobrazie zniszczenia i śmierci.

## XII.

Rzut oka na stanowisko kobiety w Persyi. — Macierzyństwo i chowanie dzieci. — Eunuchowie. — Bibi-hanum. — Tancerze i tancerki. — Święto Fatmy. — Wizyta u żony szacha—Enderum Nasr-Eddina i Muzaffer-Eddina. — Poligamia i rozwód.

W żadnym z krajów, wyznających wiarę Mahometa, ani w Egipcie, ani w Arabii, ani w Turcyi, ani pomiędzy muzułmanami, zamieszkałymi w Indjach i Syryi—nie otacza kobiety taka, jak w Persyi tajemniczość; nigdzie nie jest odsunięta tak bezwzględnie od świata zewnętrznego i pulsującego w nim życia. Lecz ogólna apatya rasy, zamarłej w odrętwiałem znieruchomieniu, sprawia, że kobieta znosi z wielkim spokojem dołę, na jaką ją skazują Islam i obyczaje jej ojczyzny.

Od najniższych szczeblów do szczytów drabiny społecznej wszystkie kobiety Persyi jednakowo wegetują: biedne czy bogate, samotne czy otoczone

rojem służebnych, żony robotników i małych mieszczan, czy Szah-zadeh hanum, wszystkie wloką bezczynnie godziny i dnie życia w ciasnym więzieniu enderumu, paląc papierosy, odurzając się kalianem, zapijając herbatę i pogryzając szirini, o ile nie spacerują od jednego do drugiego sklepu bazaru, zapatrzone w błyskotki i łachmanki. Po za mężem i najbliższymi członkami rodziny klatka ich zamknięta jest dla wszystkich mężczyzn; z żadnym też: ani z mężem, ani z ojcem, ani z bratem nie wolno im wychodzić na ulicę i pokazywać się w miejscach publicznych. Żadne zajęcie pozadomowe nie jest dla nich dostępne, a wdrożone przez cały tryb swej egzystencji do nieuleczalnego lenistwa, wykonywają niechętnie i niedbale nieliczne prace domowe, składając na barki męża lwią część zajęć, przypadających u nas w udziale wyłącznie kobietom.

Pomiędzy 12-ym a 14-ym rokiem życia, w wieku, gdy my nie pogardzamy jeszcze lalkami, dziewczęta perskie, rzucone brutalnie przez rodziców w objęcia mężczyzny, zostają żonami i matkami. Życie nie przygotowało ich w niczem do roli wychowawczyń przyszłych pokoleń; tymczasem mąż i społeczeństwo domagają się od nich potomstwa, potomstwa i jeszcze potomstwa. Sypie się też drobiazgu ludzkiego obficie. Gdyby cyfra ludności Persyi wzrastała w stosunku do ilości urodzeń, byłyby to dziś jeden z najwięcej zaludnionych krajów świata. Jeśli nie walecznością swych synów,



to choć ich potęgą liczebną mógłby stać się murem obronnym przeciw państwu Frenegistanu, które mu swą wolę i swe prawa narzucają. Lecz ludności nie przybywa, bo śmierci równie są liczne jak urodzenia. Dzieci gniją w niechlujstwie i brudzie, chorują i mrą jak muchy pod obojętnym wzrokiem rodziców. W 20-ym roku życia kobieta jest często matką pół tuzina rachitycznych stworzeń, kołyszących na cienkich szyjach wielkie głowy hydrocefalów i potworne brzuchy na badyłowatych nożynach. Zniszczona przedwcześnie, zmęczona, wyczerpana, prawie już stara w wieku, gdy dla nas rozpoczyna się prawdziwe, pełne życie, bezgranicznie bierna i ociężała z natury, kobieta ta nie zajmuje się niczem — najmniej zaś swą progeniturą, która rośnie i chowa się pod pieczę Allaha. Nikt wprawdzie tych istotek nie krzywdzi, lecz nikt też nie utuli, nie przygarnie do ciepłej piersi. Choroby czepiają się ich wszystkimi porami, a śmierć je kosi, jak łany zwarzonych przez mróz kłosów.

To, co tu z żalem stwierdzam, odnosi się zarówno do ludu, jak do najwyższych sfer społecznych. W lepiance i pałacu, pod dachem dzikiego pasterza, przymierającego w wiecznym jarzmie niedoli, czy we wspaniałem domostwie człowieka, uprzywilejowanego przez fortunę i urodzenie — wszędzie panuje jednakowa, nieopisana obojętność na losy dzieci, powierzonych w najlepszym wypadku nie-dbałej opiece służby.

Przedwczesne i zbyt częste macierzyństwa nie-

tylko nie pozwalają kobiecie zrozumieć zadań i obowiązków matki, nietylko rujnują przedwcześnie jej młodość i zdrowie — lecz jeszcze niejednokrotnie o śmierć ją przyprawiają. Bo jakkolwiek pod gorącym słońcem tej ziemi rozwija się ona fizycznie wcześniej, niż kobieta Zachodu, jednakże w 13-ym lub 14-ym roku życia nie jest stanowczo dojrzałą jeszcze do roli fizyologicznej, jaką jej narzucają, i przypląca życiem gwałcenie praw organizmu.

Ta kobieta-dziecko odznacza się na punkcie wykształcenia i wiedzy otchłanną wprost nieświadomością. Nie mówię już o kobiecie z ludu, której ignorancya dość jest zrozumiała, lecz kobieta z arystokracji na równi ze swą siostrą z gminu ma umysł całkowicie nieuprawiony. Pojęcia jej o świecie, rozciągającym się za Iranem, są naiwne i nieskomplikowane. Wie, że gdzieś daleko, daleko za morzami, rzekami i górami jest Frengistan, olbrzymia, nieokreślona kraina, zamieszкана przez mniej więcej jednostajną rasę *frengi*. Braterstwo ludów Europy ziściło się w jej pierwotnym i upraszczającym sytuacye mózgu.

Frengi ci posiadają w jej oczach cenną zaletę: wyrabiają piękne przedmioty zbytku — tłoczone aksamity, sztywne atłasy, delikatne batysty, jedwabne pończochy, barwne wstążki, odurzające perfumy, doskonałe bielidła, róże, karminy i czernidła, któremi Roger-Gallet i Pinaud hojnie rynki Wschodu zalewają.

W sklepach europejskich Teheranu, a szcze-

gólniej w wielkim holenderskim bazarze *Toko*, roz-  
taczającym w swych towarach największą jaskra-  
wość barw i wulgarność gustu, spędzają hanum  
perskie, którym majątek na to pozwala, długie  
dnia godziny. Są marnotrawne, gdyż nie znają  
wartości pieniędzy, chętnie biorą na kredyt, nie  
troszcząc się o zapłatę; brak im zupełnie elemen-  
tarnej choćby sumienności.

Lubią zmieniać i wciąż zmieniać kostyumi;  
jedyna to z nielicznych rozrywek ich jednostajnego  
życia. Jakkolwiek, wychodząc na ulicę, muszą być  
niezmiennie ubrane w tradycyjne czadury i za-  
słony, namiętnie jednak zakupuują kapelusze, zamie-  
niane w ogrody wszechkolorowego kwiecia, z pośród  
którego wytryskują pióra strusie i węzły wstążek.  
Noszą biedaczki te kapelusze w pokoju, delektując  
się nimi przed lustrem i pyszniąc przed służą-  
cymi.

Cnota ich, choć czujnie strzeżona, wątłą jest  
jak nić pajęcza. Nie wpojono w nie żadnych za-  
sad, ani pojęć moralnych. To też—bez wyrzutów  
sumienia i walk wewnętrznych — szukają wrażeń  
i urozmaicenia nudy życia, gdzie mogą i jak mogą.  
Niewidzialne są dla ogółu, dla tłumu, lecz łatwo  
odchylają zasłonę, gdy oko przez kratkę ażuru  
dojrzy w przejściu na ulicy, w bazarze, u podwojów  
meczetu, młodego eleganta zręcznej postaci. Po-  
rozumienie następuje szybko. Jednostajność ko-  
styumu, jednaką tajemnicą otaczająca je wszystkie  
na ulicy, ułatwia intrygi. Odziana w nędzny płó-



ciany czadur, pożyczony od przekupionej służebnej wielka pani dąży pieszo na miłosną schadzke; własny jej mąż — przejdzie tuż przy niej i nie pozna jej pod tem przebraniem. Jednakże sprytny szef teherańskiej policji, Włoch z urodzenia, niejednokrotnie umiał powikłać nici sentymentalnych awantur różnych wytwornych arystokratek, kryjących się pod czadurami niewolnic.

Trudniej niż kobiety służebne, współczujące losom swych pań i same od słabości serca nie wolne, przekupić jest eunuchów. Lecz, że niema podwojów, którychby złoto otworzyć nie zdołało, więc znajduje dobroczynny ten kruszec drogę i do rozumu eunuchów i zamyka ich oczy na to, czego widzieć nie powinni, a uszy na to, czego słyszeć nie trzeba. Oczywiście jednak wchodzenie z nimi w tego rodzaju układy powiększa jeszcze ciężką zależność oddanej pod ich nadzór kobiety. I te księżniczki, żony królewskie i arystokratyczne hanum, które wysoki ród skazuje na katusze posiadania stróża cnoty, nienawidzą ich głęboko i obawiają ich się zarazem. Ale żadna nie jest dotknięta w swej ludzkiej godności brutalną i poniżającą tą niewolą; cierpią z powodu tego jedynie jako z powodu niewygodnej komplikacji życia.

Podczas mego pobytu w Teheranie wszystkie prawie kobiety kolonii europejskiej bywały u jedynej, zdaje się, z perskich kobiet, wychowanej poniekąd według obyczajów Zachodu. Ojciec Bibi-hanum, zmarły w roku zeszłym w Paryżu Muszir-

el-dowleh, był człowiekiem wysokiej inteligencji i gruntownego wykształcenia; przez długie lata pełnił przy dworze tureckim funkcję ambasadora, po powrocie zaś do Teheranu piastował przez czas pewien godność wielkiego wezyra, a przez długie lata był ministrem spraw zagranicznych.

Biedna Bibi-hanum, wyrosła w Konstantynopolu, przywykła do swobodnego obcowania z ludźmi i swobodnego życia, do chodzenia z odkrytą twarzą i noszenia europejskiego kostyumu, powróciwszy w 15-ym roku życia do Teheranu, poczuła się zupełnie obcą w swej ojczyźnie i jej obyczajach, którym jednak bezsilnie poddać się musiała. Wydano ją za mąż za ministra poczt i telegrafów, dla którego żywiła mniej niż chłodne uczucia i obdarzono nieuniknionym eunuchem. Wolno jej było, jak innym *hanum* perskim, widywać kobiety, lecz żaden mężczyzna nie miał prawa przekroczyć progu jej domu.

Odwiedzałyśmy ją dość często, szczerze współczując jej bolesnej doli. Zaledwie wchodziło się do salonu, wnet zjawiał się eunuch, powiadomiony przez służebną o nadejściu gości. Jeśli przybyła z wizytą hanum była mu już znana, witał ją mniej lub więcej uprzejmie; gdy fizyogomia jej zdawała mu się obcą, bez żadnych ogródek zwracał się do pani domu, pytając głośno, kto jest ta dama. Nie można było usiąść do fortepianu, roześmiać się głośniej; we drzwiach ukazywała się natychmiast wstrętna postać eunucha. Ostre oczy patrzyły przenikli-

wie z twarzy suchej i starczej; z wąskich ust głos piskliwy wyrzucał szereg pytań: z kąd ta wesołość, o czym te hanum tak rozprawiają? Bo nie rozumiał nas ku swemu umartwieniu; Bibi mówiła płynnie po francusku, w tym więc języku toczyła się rozmowa.

Pewnego razu, z okazji wyjazdu żony konsula francuskiego, z którą serdeczna wiązała ją sympatya, Bibi-hanum zebrała u siebie kilka kobiet europejskich, z nią i z opuszczającą Teheran panią A. w blizkich pozostających stosunkach. Byłam jedną z czterech zaproszonych.

Sądziłyśmy, iż eunuch, znający nas dobrze, nie będzie się obawiał tajemniczych knowań i konspiracyj i oszczędzi nam swego widoku. Niestety, nadzieje nasze były płonne. Ani na chwilę nie opuścił jadalnego pokoju i stając za krzesłem swej pani, od czasu mieszał się do rozmowy. Nigdzie to poniżenie i ten smutny los kobiety nie raził mnie dotkliwiej, jak wobec młodej i niewinnej Bibi-hanum, do innego życia stworzonej, czystej istoty, której dziecięca dusza z pewnością była jak kryształ niepokalana i którą tylko chyba nieustanny dozór i wytrwałe szpiegostwo mogły nauczyć, iż są rzeczy, z którymi kobiety się kryją.

Podczas całego śniadania przygrywała w salonie orkiestra perska, wywodząc głuche i monotonne melodye, w których ucho daremnie doszukuje się harmonii. Gdy chwilami milkła muzyka, odzywał się uczony słowik, zamknięty, jak hanum per-



ska, w klatce. Raczenie gości podczas obiadu śpiewem słowika jest tu obyczajem dość rozpowszechnionym. Bibi-hanum chciała nas przyjąć po persku, wiedząc, że to nas zabawi i zainteresuje. Na szczęście obiad podano po europejsku. Eunuch znikł dopiero z widowni, gdy zjawić się raczył do salonu na kawę drugi pan tej niewolnicy, jej mąż, Emin-el-Mulk. Widocznie zdecydowali, iż straż jednego z nich wystarczy, by upilnować Bibi od demoralizującego wpływu czterech europejskich kobiet. Ofiarowano też naszym oczom i uwadze teatak pilnie strzeżonej cnoty młodej Bibi poruszające widowisko obrzydliwie sprośnego tańca, wykonywanego przez 10 — 12 letnich chłopców, ubranych po kobiecemu w sztywne, krótkie aksamitne spódniczki ukwiecone, tudzież cudacznie powykręcane kapelusze.

Chłopcy ci są piękni i wstrętni zarazem. Mają olbrzymie czarne oczy, podcienione koholem i maleńkie wykarminowane usteczka, cerę smagłą i bladą, twarze okolone lokami czarno-rudych włosów. Niby chory wykwit dekadencji, wyglądają oni jak kwiaty zepsucia, jak kwiaty zgnilizny. Przy dźwięku tamburynów, piszczałek i flecików, wygrzywających zawodne i głuche motywy, drobne ich figurki wyginają się w rytmie drgań to powolnych, to prędzych, w rodzaju *danse du ventre*, lecz znacznie bardziej zaakcentowano go w jego wstrętnych tendencyach. Emin-el-Mulk czyta widocznie

na naszych twarzach zażenowanie, zamiast zachwy-  
tu, gdyż gestem popisy chłopców przerywa.

.....

Tańce te, wykonywane przez chłopców, ile-  
kroć patrzą na nie oczy mężkie, a przez dziewczę-  
ta wobec samych kobiet lub króla, są główną roz-  
rywką, zakończeniem i urozmaiceniem perskich uro-  
czystości. Raz jedynie widziałam tancerki na dość  
ciekawem dla europejskich kobiet święcie Fa-  
tmy (obchodzonem na pamiątkę córki Mahometa,  
Fatmy). Dziewczęta te niczem, ani ubraniem, ani  
twarzą, ani postacią, ani naturą tańca nie różniły  
się od chłopców.

Na święto Fatmy rozsyłała zaproszenia jedna  
z czterech głównych żon Nasr-Eddina, nosząca to  
imię. Zbierały się u niej małżonki monarchy, jego  
faworyty, żony dygnitarzy perskich i kobiety euro-  
pejskie, których mężowie należeli do składu lega-  
cyj, lub pozostawali w służbie rządowej. Żaden in-  
ny mężczyzna, prócz króla, nie ma dostępu na tę  
uroczystość.

W przedsiönku przyjmuje nas wdzięcznym uśmie-  
chem i kilku uprzejmymi słowami stara hanum  
w ciężkich sztywnych materyach; jest to podobno  
sama Fatma; przy niej stoi syn jej, elegancki i mi-  
ły książę Nieb-Sultaneh. Na schodach, w koryta-  
rzach i w salonach roi się od eunuchów. Niesły-  
chany ich natłok przedewszystkiem wzrok uderza.

Jest ich chyba 300, co najmniej. Są starzy i młodzi, biali i czarni, jest kilku potwornych karłów, których wspomnienie zakłócić może spokój snu przeraźliwą marą. Wszystkie te twarze są jednakowo brzydkie i odpychające. Oczy bazyliżków, przywykłe do wpijania się w dusze biednych niewolnic, patrzą bezlitośnie i przeszywająco, wązka linia ust okrutnych przecina twarze bez zarostu; wszyscy — najmłodszy nawet — wyglądają na starców i wszyscy są nieopisanie wstrętni. Spotyka mnie smutny zaszczyt przyjaznych uśmiechów, jakie przesyłają mi zdaleka kat Bibi-hanum i usposobiony dla mnie życzliwie eunuch jednej ze znajomych mi żon szacha.

W wielkim, środkowym salonie, którego przednia witrażowa ściana otwiera się na wesołą zieleń ogrodów, zebrała się cała kobieca arystokracja Teheranu, by przedstawić zebrane swe wdzięki monarchce, jedynej mężczyźnie, mającemu dostęp do tego gynecceum. Oczywiście nie biorę w rachubę eunuchów. Przed królem jednym ukazują się kobiety z odkrytą twarzą. Widzę wszystkie uznane piękności Teheranu... Pomiędzy ludem przeważa w Persyi typ kobiety szczupłej, zręcznej i nerwowej. Konieczność zmusza kobiety klas biednych do większego ruchu i choć niesłychanie mało wogóle pracują, jednakże cośkolwiek koło domu robić muszą. Skukiem więc nędznego odżywiania się nie tyją, jak ich arystokratyczne siostry, pędzące dni życia w nieruchomości pogańskich bożyszcz, prze-



karmione słodyczami, nie wychodzące prawie nigdy piechotą i nie rozumiejące nawet rozrywki spaceru w ogrodzie. Damy, które dziś oglądam, niezmiernie są okazałe. Twarze mają szerokie, rozlane i obficie umalowane. Pod pokładami pudru, różu i czernidla zanika ich wdzięk naturalny. Łącząca brwi szeroka linia „surmeh,” czy koholu, szpeci piękne, aksamitne oczy; takąż linia zacienia lekkim puchem górną wargę.

Wiele hanum ma dnia tego długie suknie w rodzaju obcisłych polonez o długich i bardzo wązkich rękawach. Ubranie to widzę po raz pierwszy i znajduję, że nie jest pozbawione pewnej elegancyi. Niektóre z sukien, naszywane perłami i drogiemi kamieniami, wyglądają niesłychanie bogato. Słynna Anisseh-Dowleh, najwięcej lubiana i szanowana z żon Nasr-Eddina, poważna i rozumna kobieta, rządząca całym haremem, a potrosze i jego panem, nie młoda już i nie ładna, przybrana jest w kostyum bajecznie okazały. Powłóczysta suknia z fioletowego aksamitu, obramowana wspinałym szlakiem z ogromnych pereł i brylantów od szyi do stóp i naokół sukni biegnącym, mieni się tysiściami ogniami. Na rękach, na głowie, na szyi dźwiga sznury pereł, tak wielkich, że już nieefekownych, pospinanych brylantowemi guzami. Wszystkie kobiety mają włosy splecione w kilka i kilkanaście warkoczy; głowa przykryta lekką, na krzyż złożoną chustką gazową, obwieszona jest mnóstwem kosztowności. Podziwiam ślicznie falujące i prze-

pięknego połysku czarne długie loki jednej z żon ministrów; zbliżam się do niej, by się tym kruczym splotom lepiej przypatrzeć i widzę, że są... z jedwabnej szeli.

Stoły salonu zastawione są tacami owoców, lodów, sorbetów i wszelkich możebnych *szirini*, silnie aromatowanych; w cukierkach znajdują się ziarenka kminku, anyżu i płatki najróżnorodniejszych kwiatów: róż, fiołków, jaśminów; mdłe to raczej, niż smaczne.

Hanum zajadają słodczyce, szczebioczą i radują się głośno, podniecone i szczęśliwe, dumne też z tego, że przed europejskimi kobietami, odzianymi tak ciemno, bez klejnotów i ozdób błyszczących, występują w całym przepychu drogocennych błyskotek i bogatych materyj.

Słyszę nagły ruch w korytarzach, eunuchowie schylają głowy, król wchodzi.

Nasr - Eddin nie jest już tak imponujący, jak w dniu Salamu, kiedy zdaje się pławić w gloryi blasku, zdaje się być chwilami istotnie tym „Cieniem Boga, rozdawcą tronów monarchom świata,” jakim go mianują pompatyczne określenia. Mundur ma na sobie nie tak wspaniały.

Widzimy króla zblizka — ostre zmarszczki rysują się wyraźnie na twarzy, choć przez bohater-skie podkreścanie wąsów sili się na nadanie jej wyrazu dzielnej młodości.

Widzę, że kolekcya złotych monet, którą za-wdzięczam specjalnemu pojmowaniu uprzejmości

przez Persów, powiększy się za chwilę. Byłam zresztą o tem uprzedzona: w święto Ratmy król ofiarowuje każdej z zaproszonych na nie niewast sztukę złota wartości 20 franków.

Lecz o ile przestało mnie razić obdarowywanie temi pieniążkami wśród kwiecistych frazesów męża, mnie i mej córeczki przez różne, dom nasz nawiedzające ekscelencyje, o tyle ta ceremonia szybkiego rzucania monety na złożone ręce kobiet przykro mnie dotknęła. Pragnęłabym teraz być ztąd daleko...

Nasr-Eddin przechodzi prędko, dając każdej sztukę złota, nie zatrzymując się na chwilę przy żadnej. Do nieznanych jeszcze wystosowuje parę tych zdań lakonicznych, których sekret uniósł ze sobą do grobu.

Ponieważ po raz pierwszy widzą zblizka mnie i moją córkę oczy monarchy, nie unikam elokwentnych specjalnie zapytań:

— *Femme de l'oculiste!*

— *Oui, Majesté.*

— *Sa fille?*

— *Oui, Majesté.*

— *Très bien, l'oculiste, très bien!..*

Boże? jak on się boi długich frazesów! Złote monety upadają w nasze ręce, odziane wedle wymagań ceremoniału w czarne jedwabne rękawiczki. Oddycham; nie jestem stworzona do tych uproszczonych sposobów wymiany myśli.

Teraz kolej na żonę doktora, Francuza, bar-



dzo lubianego przez Nasr-Eddina, lecz niedomagającego często na reumatyzmy i spędzającego stale kilka miesięcy do roku w łóżku.

Słyszę prędkie:

— *Schneider malade? Toujours malade!*

Złota moneta wpada w złożone ręce, szach kroczy już dalej.

Gdy przegląd kobiecej armii skończony, gdy wszystkie już otrzymały dar monarszy, zaczyna się zwykła muzyka, poprzedzająca popisy choreograficzne.

Śliczne dziewczątka o wyuzdanych i zmysłowych fizyognomiach, wyprężając wężowo ciała, wykonywują szereg drgań konwulsyjnych, na które Nasr-Eddin i perskie damy patrzą z głębokim zainteresowaniem. Trwają te dreszcze lubieżne i drgania przez dobre pół godziny, nareszcie widowisko się kończy, uroczystość również, król opuszcza pałac. Eunuchowie przystępują poufale do swych pań-niewolnic; jedni szepczą tajemniczo, drudzy przemawiają tonem rozkazującym.

.....

Niejednokrotnie zmuszona byłam, ulegając prośbom różnych dygniterek, leczonych przez męża, a pałających dlań jakoby wielką wdzięcznością, składać w towarzystwie jego i córki wizyty tym damom.

„Hakim” widocznie za mężczyznę nie jest

uważany: kobiety przychodzą do lekarzy europejskich na konsultacje i wzywają ich do siebie. Podczas wszystkich tych przyjęć niewdzięczny eunuch nie opuszcza na chwilę salonu; śmieje się przenikliwie i trzeszczącym głosem miesza się do rozmowy, monotonnej i męczącej. Między zdania-  
mi leżą stopy całe milczenia, tak jak między umy-  
słowością kobiety Wschodu i Zachodu leżą nie-  
zglobione przepaście.

Katuszę tych wizyt lżejszą mi jedynie czyni moja córeczka, która w ciągu kilku miesięcy płynnie nauczyła się szczebiotać po persku i podtrzymuje konwersację z niewiastami, które mlaskają językiem z zachwytu nad tą przemiłą „hanum-kuczulu”<sup>1)</sup>).

Nie zapomnę nigdy pierwszej naszej bytności u jednej z operowanych przez mego męża małżonek szacha, której imię wyszło mi całkowicie z pamięci.

Poprzedniego dnia przysłała mi ona szal perski, jako słaby upominek w dodatku do tych, które ofiarowała była memu mężowi, prosząc go jednocześnie, by nazajutrz przyjechał koniecznie do niej ze swą „hanum” i „hanum-kuczulu.”

Czas był wietrzny i chłodny; ubrałam na tę wizytę dziecko w płaszczyk świeżo z Paryża przysłany.

---

<sup>1)</sup> Mała pani.

Po sakramentalnych: „Achfale szuma hub est?”<sup>1)</sup>), zasiadamy na obowiązkowe godzinne nudy; przyjmują nas zwykłemi szirimi i zwykłemi sorbetami, zwykłemi naparstkami kawy i herbaty i zwykłą rozmową.

W salonie nagromadzona jest najliczniejsza i najbrzydsza kolekcya lamp, porcelanowych i kryształowych lichtarzy i świeczników, wazonów, żardnierek i filiżanek, jaką kiedykolwiek widziałam; Wygląda to na ordynarny bazar w małej miejscinie.

Po nieskończeniu długo trwającym zachwyca-  
niu się nad moją „kuczulu,” podczas którego zmu-  
szoną byłam wypróżnić szklanekę herbaty, czareczkę  
kawy i miseczkę sorbetu z „sekendżebin”<sup>2)</sup> — na  
znak, dany przez panią domu, jedna ze służebnic  
podaje jej pudełko, w którym na tle atłasu spo-  
czywają dwie wielkie brylantowe spinki do mankie-  
tów. Sądzę, że to jeszcze prezent dla mego męża  
Nie, to dla „kuczulu.” Lecz zamiast ofiarować  
dziecku wprost ekran, hanum pragnie wypróbować  
efekt brylantów na płaszczyku. Każe sobie podać  
nożyczki. Nic nie rozumiem, lecz zaczynam być  
zlekka zaniepokojoną. Hanum z całą prostotą  
i flegmą naiwnej duszy robi na rękawach płaszczy-

---

<sup>1)</sup> Czy twoje zdrowie jest dobra.

<sup>2)</sup> „Sekendżebin”—syrop z octu, doskonały w smaku  
i orzeźwiający.



ka kilkakrotne nacięcia, szukając najwłaściwszego miejsca, wreszcie wykrawa na wierzchu okrągłe kółka pokaźnej wielkości i tryumfalnie zasadza w nie spinki. Odsuwa od siebie dziecko, by się lepiej dziełu swemu przypatrzeć i kiwając głową z uśmiechem zadowolenia, powtarza raz po raz:

— *Heili kaszenk hemszin! Hejli kaszenk!*<sup>1)</sup>

Wszyscy z zapalem potwierdzają.

Ja w cichości ducha uważam, że byłoby daleko więcej „kaszenk,” gdyby klejnoty pozostały w pudełku. Lecz hipokryzya dobrego wychowania nakazuje mi przywołać na twarz najuprzejmiejszy uśmiech i oświadczyć, że nie znam rzeczywiście nic więcej wykwintnego nad ten sposób noszenia spinek brylantowych. Tylko zrywam się pospiesznie, dając hasło do odwrotu w obawie, by na moim kostyumie efekt ich nie był również demonstrowany za pomocą nożyczek.

Parę słów należy się haremowi, czy też enderumowi monarszemu. Nasr-Eddin, jakkolwiek nie dorównywał w liczbie żon zadziwiającemu Fet-Ali-szachowi, otoczony był pokaźnym rajem niewiast.

Żon legalnych, tak zwanych „Agdes,” król ma zwykle tylko cztery; powinny one pochodzić z rodziny książęcej, lecz różnie się zdarza; serca królów bywają zapalne i słabe, jak serca zwykłych śmiertelników i zapominają nieraz o różnicach spo-

---

<sup>1)</sup> Bardzo tak ładnie! bardzo ładnie!

lecznych. Dowodem tego legalne małżonki Nasr-Eddina.

Pierwsza z czterech Agdes, matka drapieżnego i wojowniczego Zille-Sultana, prostego była rodu. Dlatego też, jakkolwiek wielkorządca prowincyi Ispahanu najstarszym jest z synów, nie ma wszakże prawa do tronu i za przypadek szlacheznego urodzenia nienawidzi szczerze Muzaffer-Eddina, syna drugiej z rzędu Agdes, księżniczki krwi królewskiej, wnuczki Fet-Alego.

Za życia ojca, który chłodne dlań żywił uczucia, Zille-Sultan nosił podobno szablę, na której zdobnemi literami wryty był napis: „Tą szablą zetnę głowę mego brata.”

Obecnie schował prawdopodobnie szablę gdzieś głęboko, przekonawszy się, że pewne głowy uie tak łatwo ścinać.

Trzecią Agdes była Fatma, matka Naieb-Sultaneh, nie książęcego również pochodzenia; wreszcie czwartą — o ile mnie pamięć nie zawodzi — szanowna „Szach-zadeh<sup>1)</sup>”, której zawdzięczam wesołe wspomnienia i brylantowe spinki, lub też „miłość królestwa” — „Anisseh Dowleh.”

Po za żonami posiadał Nasr-Eddin 70 tak zwanych „Sighē,” legalnych kochanek. Każda z nich, gdy raz chociaż doznała względów monarszych, otrzymywała w enderumie do końca dni swoich aparta-

---

<sup>1)</sup> Księżniczka.

ment z trzech pokoi, dość pierwotnie umeblowanych, nieodzownego eunucha, odpowiednią ilość służebnych, wreszcie 3,000 franków miesięcznej pensyi, co wobec taniości materialnego życia w Persyi przedstawia dość znaczną sumę. Trudno zresztą utrzymywać 70 kobiet na królewskiej stopie.

Cztery pierwsze żony, cztery Agdes, otoczone są zato wielkim bardzo zbytkiem.

Po każdej ze swych licznych podróży przywoził niestrudzony koczownik do Teheranu parę młodziutkich dziewcząt, często zaledwie 10-letnich, które *ofiarowywali mu sami* czuli rodzice, troskliwi o dobro dzieci, pragnący *ułożyć* je wygodnie—jak dobrze procentujący kapitał i wyrobić sobie stosunki przy dworze. Nasr-Eddin powierzał je pieczy nadwornej ochmistrzyni „Amine-Agdes” (dosłownie—„zaufanie rządu”), pod dozorem której dawano im staranną edukację, skierowaną wyłącznie ku przypodobaniu się mężczyźnie i osłodzeniu chwil władcy i panu. A więc uczono te dziewczątka tańców, śpiewu, muzyki na cymbałkach, tamburynach i mandolinach, parę z nich brząkało nawet na fortepianie. Gdy wykształcenie ich osiągało pożądaną normę, przedstawiano je ponownie monarsze, który—stosownie do swej fantazyi—darzył je swą łaską i czynił z nich „Sighe,” lub też odsyłał je rodzicom.

Jeden jeszcze charakterystyczny szczegół. Nasr-Eddin nie pożywał ojcostwa. Gdy którakolwiek z małżonek, po za Agdei, obdarzała go po-



tomkiem, spadała na nią niełaska króla, który na zawsze oddalał ją od swego oblicza. Nie wiadomo dokładnie, jakie względy powodowały tę surową decyzję. Nasr-Eddin lękał się może ciężkich obowiązków ojca, wymagających nadania odpowiedniego posagu córkom, a majątków i godności synom; może też—a nawet z pewnością—nie miał—mimo dozoru eunuchów—najmniejszego zaufania do wierności małżeńskiej swych „Sighe.”

Służba kobieca haremowa składała się z 800 mniej więcej niewiast, tworzących całą hierarchię niewolniczą, o czynnościach ściśle odgraniczonych. Jedne podają tylko kaliany i kawę, drugie usługują do stołu, trzecie pełnią funkcje panien służebnych, inne jeszcze—kształcone w śpiewie i tańcu—rozweselają rozpacziwą nudę zamknięcia. Najniższy wreszcie zajmują kuchenne pomywaczki i posługaczki, kopciuszki tego cechu.

Nasr-Eddin, o naturze gorącej, żywej i czynnej, z równym zapałem zajmował się sprawami publicznymi, jak oddawał się rozrywkom. Dzień swój dzielił sprawiedliwie pomiędzy przyjemności oczu i serca i obowiązki króla. Zrana był monarchą, szczerze dbałym o dobro poddanych, pragnącym uczynić dla swego kraju o wiele więcej, niż mu pozwalały zewnętrzne i wewnętrzne stosunki. Ten 112-y z rządu następcy wielkiego Cyrusa gorliwie pracował dla Iranu, walczył z obskurantyzmem mułłów i sprzedajnością ministrów, karcił—o ile mógł—nadużycia, był bezwarunkowo jednym z najlepszych

monarchów, jakich miała Persya. W południe, obiadując w którejś z sal pałacu, wysłuchiwał sprawozdań wielkiego wezyra, szefa policyi, ministrów, wydawał rozkazy. Zmarły przed kilkoma laty dr. Tholozan, Francuz, człowiek niepospolitego umysłu i wybitnej inteligencji, odcytany i wykształcony, uśmiechnięty filozof, rówieśnik wiekiem monarchy, przy którym przebywał od lat 35-ciu, odczytywał Nasr-Eddinowi codziennie „Figaro” i rozprawiał z nim o kwestjach ogólnych.

Po tym poważnie spędzonym poranku, szach odpoczywał wieczorem w swym enderumie, którego budynki przylegają do jego pałaców. W głównej sali tego przybytku rozkoszy zbierały się wszystkie „Sighe” i uprzyjemniały czas władcy śpiewami, muzyką i tańcami. Od kilkunastu lat największym wpływem na monarchę cieszyła się Anisseh-Do-wleh, w ostatnich zaś dniach jego życia w sercu jego panowała wszechwładnie prześliczna córka jednego z ogrodników gulistanu, podniesiona do godności „Sighe.” Wszystkie piękności enderumu zostały całkowicie zaniedbane dla jej cudnych oczu.

Ostatnia jeszcze uwaga o kobietach i zmarłym monarsze. Na uczczenie 50-letniego jubileuszu jego panowania ofiarować mu chciano, pomiędzy licznymi prezentami, jakimi zasypać go mieli wierzni poddani, 25 dziewcząt w wieku od lat 10 do 12, jako najpiękniejszą wiązaną kwiatów ku upamiętnieniu tego dnia solennego. Nie sądźmy tych ludzi według naszej moralności, nie przykładajmy

do nich naszej miary... Olbrzymia noc, jedna i niezgłębiona, ciąży nad ich życiem!

Oczy monarsze nie ujrzały niesionych w hołdzie niewiniątek; na dwa tygodnie przed rozpoczęciem jubileuszowych uroczystości Nasr-Eddin zgiął z ręki Mirza-Rezy.

Chorowity i ciężki Muzaffer-Eddin żon ma niewiele; myśli raczej o nadwątлонem zdrowiu i o normalnem funkcyonowaniu wątroby, niż o rozrywkach oczu i ucieście serca. Za mego pobytu w Teheranie siedem tylko kobiet stanowiło enderum nowego monarchy. Naieb-Sultaneh nie zna pożądań serca i żon ma tylko cztery. Obyczaje Zille-Sultana są mi najzupełniej nieznane.

Religia oficjalna uznaje poligamię, lecz liczne, krzewiące się w niej sekty odrzucają takową bezwzględnie. Brak materyalnych środków przeszkadza masie ludu do wielożeństwa. Już jedna żona jest w Persyi sprzętem kosztownym; jak podołać żywieniu i odziewaniu kilku? To też jednożeństwo, wypływające z konieczności materyalnej i uświęcone przez zwyczaj, coraz więcej znajduje adeptów, coraz wyraźniej tryumfuje na całej przestrzeni Persyi. Można śmiało twierdzić, iż monogamia jest w niej ogólna, poligamia stanowi rzadki wyjątek, luksus książęcy. Jednakże w drodze do Teheranu, pomiędzy Khoj i Tebrysem noclegowaliśmy u niezamożnego Persa staruszka, który posiadał żon trzydzieści.

Nadzwyczaj łatwo otrzymać jest rozwód; rów-



nież łatwo pobrać się ponownie rozłączonym małżonkom, jeśli tylko w przerwie czasu, przez który byli sobie obcymi, żona nie wyszła ponownie za mąż. Daremnie zastanawiam się, jakie pobudki wewnętrzne stworzyły to prawo i jaką gwarancję daje ono szczęściu ponownie pobranych małżonków?

Oto w pobieżnych rysach los naszych sióstr w Persyi. Nędzny jest i okropny wobec naszego pojmowania praw kobiety. Lecz te nieświadome niewolnice, pogrążone w otchłani ciemnoty, nie cierpią, bo nie wiedzą. Nie znając niczego, niczego nie pragną i niczego się nie domagają; w wielkim buncie uciśnionego ducha rwą się do światła i swobody.

### XIII.

Warunki życia Europejczyków w Teheranie.—Mieszkania i meble.—Pośpiech poczty —Rozrywki kolonii europejskiej.—Życie materyalne. — Służba perska. — Moi służący.—Abbas i Abdullah.

Jakiem jest życie Europejczyków w Persyi wogóle, w stolicy Szah-in-Szaha w szczególności? Jakkolwiek wszyscy Europejczycy skarżą się z zasady i przez specyjalną jakąś pozę na brak wygod, drożyznę, wyzysk, niemożebność znalezienia tu niezbędnych, a cóż dopiero zbytkownych rzeczy—nie znam takiego, któryby kraj ten bez żalu opuszczał, któryby, opuściwszy go, za nim nie tęsknił, tak dni spokojnie i słodko przechodzą na tej ziemi Wschodu: smutki mniej ciężą, a przyjemności więcej cię radują pod promiennem słońcem, które często zbytnio przypieka, lecz zawsze rozwesela i wszelkie melancholie rozprasza.

Trudno tu o różne wygody życia, nie ulega to wątpliwości. Domy przedewszystkiem przeraża-

ją nas, gdy je po raz pierwszy widzimy: posadzkę zastępuje ubita ziemia, drzwi się nie zamykają, okna latają w zawiasach, jak gorączką trzęsione; ściany wymalowane jednostajnie na niebiesko, żółto lub zielono, okropnie rażą oko, przywykłe do delikatnych półcieni obić.

Nie mówię już o tem, że w paru choć pokojach pułap bez belek zastępuje sufit. A płaci się za taki dom równie prawie drogo, jak za porządne mieszkanie w Europie.

Gdy trzeba go zapełnić, należy pożegnać się ze złudzeniem znalezienia jakichkolwiek mebli; wszak Pers przeciętny ich nie potrzebuje: siedzi na ziemi, jada na tacy przed nim ustawionej, sypia na materacach. Pers zaś bogaty sprowadza całe umeblowanie z Europy.

Po parotygodniowych poszukiwaniach i krzątaniu jest się nareszcie w posiadaniu kilku tapczanów i kilku stołów z białego drzewa, kilkunastu krzeseł i paru foteli składanych, wyrabianych przez Anglików w Ispahanie... I to wszystko, powoli dopiero, korzystając z licznych wyjazdów członków ciała dyplomatycznego, którzy, jak wędrowne ptaki z jednego końca świata na drugi peregrynują, skupuje się różne przedmioty więcej luksusowe.

Lecz już z pierwotnymi meblami pierwszych tygodni łatwo urządzić przyjemny kącik, zadawalniający wszelkie wymagania estetyki. Skarby bazaru tak blizkie i „dallale” tak współczują losom





Bankier uliczny w Teheranie.

<http://rcin.org.pl>

„frenge” i tak zawsze gotowi są pozbyć się dla najcenniejszych swych drobiazgów. Pokoje wyściela się dywanami, ściany obwiesza się jedwabiami, za haftowanymi w delikatne różnobarwne desenie, płótnami bucharskimi prześlicznego efektu z olbrzymimi rzutami czerwonych kwiatów, staremi „gulduzi” <sup>1)</sup> z Resztu o tłach przyćmionych wyblakłych gobelinów. Z białych, haftowanych złotem zawojów mułłów robi się piękne franki, a z kalemków wesołe i oryginalne obicia całych pokojów. Na tapczanach, pokrytych materacami, drapują się w ciężkich fałdach kilimy, które wyrabiają tu artystycznie, rzuca się na to kilka poduszek z indyjskich jedwabów lub materij ispańskich i ma się sofę, ładną, jak tapicersko-stolarskie arcydzieła cywilizacji. O drobiazgi i ładne drobiazgi nietrudno; w parę godzin zaopatrzyć się w nie można w bazarze, a zapełnione nimi mieszkanie już żyje, już jest miłem.

My dość szybko zainstalowaliśmy się w ja-skrawo-szafirowych pokojach naszego domu dzięki dobroci i delikatności Moktré-Dowle, ministra oświaty, za którego inicjatywą głównie mąż mój do Teheranu został wezwany i który wskutek tego (dziwny wyjątek pomiędzy Persami) poczuwa się do ja-

---

<sup>1)</sup> Sukna, naszywane w deseń innemi suknam i różnokolorowemi jedwabiami.

kichś wobec niego obowiązków. Pierwszego zaraz dnia przysłała nam, „by hanum mogła urządzić sobie znośny kącik,” kilka dywanów, parę stołów, nieco krzeseł, lampy i rozliczne drobiazgi, wreszcie luksus nad luksusami, doskonały fotel na biegunach, którego mi wszyscy zazdrozczą.

Zakupami do gruntowniejszego naszego umeblowania zajmuje się kilku jego służących; w tydzień niespełna mamy łóżka, umywalnię, biurko, lustra, jednym słowem najniezbędniejsze meble. Wiele na tych sprawunkach zarabiają pośrednicy? Nie chcę tej kwestyi zgłębiać; każda praca wymaga płacy, i słuszniej!

Pesymiści i malkontenci biadają, iż brak im w Teheranie, prócz różnych wygod domowych, koncertu, teatru, odczytu, najnowszej książki i ostatniego dziennika. Bezwarunkowo obywać się trzeba bez „nowalii” intelektualnych i bez tych rozkosznych ploteczek brukowych, które są tłem i treścią wszelkich *Premiers-Paris* i wszelkich *Actualités*.

Nieubłaganie powolna poczta perska, wioząca dwa razy tygodniowo naszą korespondencję przez Tebrys, Khoj i Erzerum do Trebizondy i dwa razy ztamtąd przybywająca, nie zna wartości czasu i nie rozumie trawiącej gorączki nowych wrażeń i nowych emocyi. Tłuką się więc pocztarze po drogach górskich jak Allah pozwoli; listy i dzienniki przychodzą z Europy w dni 28, 35, 40... pierwszej zimy otrzymałam parę listów z Warszawy, które podróżowały dni 50!



Nie należy jednakże przypuszczać, iż jest się całkowicie od wieści ze świata odcięty. Czerwone i niebieskie słupy indo-europejskiego telegrafu istnieją nietylko ku każeniu wdzięku wschodniego krajobrazu. Telegraf ten zawiadamia nas codziennie za pośrednictwem litografowanych świstków *News-Paper*, rozsyłanych przez legację angielską szachowi, ministrom perskim i przedstawicielom państw europejskich o wszelkich kataklizmach, uroczystościach i poważniejszych wypadkach, zaszłych na obu półkulach.

Rozrywek w kółku europejskiem nie brak; nie bardzo są może urozmaicone, lecz za to dość liczne, by wypełnić godziny bezczynności rozbawionej kolonii. Używać można podostatkiem tennisu i polo, spacerów konnych i spacerów powozowych, przypatrywać się co tydzień *paper chase'om* i wszelakim harcom i popisom, urządzanym przez Anglików za bramą Kazwińską, grać w teatrach amatorskich, nudzić się na niezliczonych *jour fix'ach*, chodzić z obiadu proszonego na obiad proszony, z pikniku na wieczorowe zebrania, rzadziej nieco na bal. Za moich czasów z sukniami tylko był kłopot nielada; Teheran nie posiadał ani jednej szwaczki; z mozołem i kosztem należało sprowadzać toalety z Europy. A jeśli nie korzystało się przytem z uprzejmości „walizy dyplomatycznej”, lub nie mogło znaleźć żadnej okazji, trzeba było na te suknie, podróżujące zwykłą karawanową drogą, wypoczywającą całymi miesiącami na wszelkich większych eta-

pach, czekać nieskończone czasy. Pierwszego roku naszego pobytu krawcowa moja wysłała mi z Paryża w lutym suknie, które odebrałam w końcu października!

Obecnie niedogodność ta jest usunięta; nieba życia kobiet światowych nie plami już żadna chmura, bowiem od lat trzech zainstalowała się w Teheranie niejaka pani Hoffman, przedstawicielka firmy Wortha, ni mniej, ni więcej! Wszelkie fantazyje toaletowe łatwo więc zadowolnić, byle tylko kieszenie mężów na nie starczyły.

Zapomniałam jeszcze o trzecim i najpoważniejszym powodzie biadań niektórych Europejczyków. Uważają oni, że Persowie w swym kraju żyją za bezcen, a ich życie bardzo drogo kosztuje, że trzeba pięciorga lub sześciorga służących na pracę, którą w Europie jeden wykona, że kucharki przyprowadzają ich o choroby żołądka, karmiąc baranym tłuszczem, zamiast masła, że cała służba zresztą kradnie bez litości.

Ja zrobiłabym Persyi pod tym względem jeden tylko zarzut: przekarmia nas baraniem mięsem, które pod wszelkimi postaciami w południe i wieczorem spożywać trzeba. A więc ma się codzień rosół barani i pieczeń baranią, kotlety baranie i jeszcze baranie krokietki i potrawki, kurczęta, zające, dzikie ptactwo (bekasy, kuropatwy, jarząbki, przepiórki), ryby: łososie z Rosyi i pstrągi z górskich potoków urozmaicają wprawdzie stół. Lecz podstawą wszystkiego jest baranina. Wołowiny rzad-

ko latem dostać można, czasem też niesmacznej bardzo cielęciny; raz do roku wieprzowiny, którą restaurator, Szwajcar, sprzedaje w stosunku do ceny innych mięs na wagę złota.

Można więc żalić się na jednostajność kuchni, lecz utyskiwania nad służbą uważam za przesadne. Prawdą jest, iż tu służba przywłaszcza sobie nieco pańskiego dobra, pobierając obfity haracz na zakupnach. Prawdą też, że nad ceną wszelkich produktów miejscowych, wszelkich zapasów żywnościowych, nabywanych w bazarze, zawisła dla Europejczyka czarna zasłona niezgłębionej tajemnicy. Ale gdzie na świecie dzieje się inaczej? Zarówno pod biegunami, jak pod zwrotnikami, w precywilizowanych stolicach, jak w najzapadlejszych zakątkach ziemi—wszędzie wyzyskują cudzoziemców. Dlaczego Persi jedni mają się różnić na tym punkcie od wszystkich narodów ziemi i świecić im cnotą?

W Persyi przynajmniej, szczęśliwie dla cudzoziemców, wszystko jest tak tanie (prócz produktów zagranicznych), że, pomimo systematycznego zdzierstwa, praktykowanego na szeroką skalę przez całą hierarchię służebną: nazirów <sup>1)</sup>, kucharzy, stangretów, lokai, keraułów, można żyć bardzo wygodnie, nawet zbytkownie. wydając mniej bez po-

---

<sup>1)</sup> Nazir—naczelný służący, zarządzający domen.



równania, niż w jakiegokolwiek stolicy europejskiej.

Pilnować sług i chodzić z nimi po zakupy do bazaru niepodobna; najoszczędniejszemu nawet z Europejczyków do głowy to nie przychodzi.

Byłby, po pierwsze, znacznie więcej jeszcze obdartym przez przekupnia, niż przez swego sługę; po drugie, kurs na bazar tak jest daleki, a drogi doń wiodące tak błotniste i brudne, że tylko dorożką lub powozem wybrać się tam można.

I czy warto oddawać się tej zawziętej kontroli w mieście, gdzie przy wszelkich wyzyskach mając kosztuje krana <sup>1)</sup>, czyli 20 kop., funt mięsa 5, 6, 7 kopiejek, gdzie jarzyny i owoce ma się za grosze.

Uważam to szpiegowanie ludzi, którzy nic a nic mniej nas przez to obdzierać nie będą, a znajdują tylko inny sposób przywłaszczania sobie naszych pieniędzy, za niepotrzebne zupełnie komplikowanie życia.

Pewien kucharz teherański, zbyt namiętnie przez swą panią śledzony, nadziewał zręcznie przez lata całe mięso kamieniami, aby miało pożądaną wagę. Często nawet przy tym systemacie przewa-

---

<sup>1)</sup> Kran=połowie franka.

ważało, a naiwna dama radowała się z błogością wielką, iż jedna pomiędzy wszystkiemi nie jest okradaną!

Ja trzymam się zasady wydalania zbyt niesu-  
miennych służących, a zamykania oczu na dro-  
bniejsze oszustwa. Wyrzucam naprzykład kucha-  
rza, który w pierwszym swym po trzech dniach  
pobytu u mnie robionym rachunku notuje mi  
mniej więcej 20 jajek, 6 funtów mięsa i funt ma-  
sła dziennie, inne produkta w tejże proporcji, na  
dwie istoty bez apetytu: sześciolatnie dziecko i cho-  
rą kobietę, ze wstrętem patrzącą na jedzenie. Mąż  
mój w tej epoce wyjechał był na parę tygodni do  
Teheranu, a służba, uważająca nasze pokarmy za  
nieczyste, nie jest i nie chce być żywioną.

Przejście z tym kucharzem nadaje się do ko-  
medyi. Według swego rachunku, wydaje 15 kra-  
nów dziennie, 5 według mego. Oznajmiam mu  
więc w lakonicznej przemowie, która rywalizować  
może z elokwencyą Nasr-Eddina, iż jest najwię-  
kszym ze złodziei Iranu i szukać może innego  
miejsca, ja bowiem jutro już na oczy go widzieć  
nie chcę.

W pół godziny po tej przeprawie zjawia się  
stangret z misyą od kucharza.

— Hanum nie będzie chyba tak zawziętą  
i zapalczywą, ażeby pójść za głosem pierwszego  
i niesprawiedliwego uniesienia i pozbawiać miejsca  
jego przyjaciela, Mohameta! Mohamet skłonny jest

ze swej strony do wielkich ustępstw. Będzie robił obiady i śniadania dla hanum, hanum - kuchulu, age <sup>1)</sup> i zawsze choć jednego nieprzewidzianego gościa, czyli na osób cztery, obiady zupełnie wykwinne: z dwoma daniami mięsnymi, jarzynami, sałatami, kremami, owocami za 8 kranów <sup>2)</sup> dziennie. A na złe żywienie nas dwóch wydawał sumę dwa razy większą.

Rozumie się, iż „ustępstwa” Mohameta utwierdzają mnie w niezłomnem postanowieniu pozbycia się jego złodziejskiej postaci. Lecz z następnym kucharzem urządzam się w sposób przez tego proponowany, a przez wielu europejczyków praktykowany.

Najopłakańszy to system; porzucam prędko i system i kucharza, gdyż jest się skazanym na jedzenie różnych obrzydliwości pod pozorem, że oznaczona suma tylko na te obrzydliwości wystarczyć może.

Nowy więc kucharz gotuje świetnie i kradnie niewiele, lecz upija się, jak umieją się upijać synowie narodu, któremu religia zakazuje używania wszelkich trunków. Co wieczór karauły wynoszą go nieprzytomnego z kuchni.

Wreszcie trafiam na feniksa, który pobiera

<sup>1)</sup> Aga—pan.

<sup>2)</sup> 4 franki. Wino, cukier, herbata, kawa kupuje się oddzielnie i do rachunków kucharzy nie należą.



zupełnie umiarkowany podatek i ma książeczkę rachunkową, która mnie wprost zachwyca.

W tej książeczce, narysowana czterema linijkami kura dziobie płaty chleba; za nią grudki ciąłek podłużnych odtwarzać mają jajka, okrągłych—jabłka, drobnych czarnych punkcików—winogrona. Czepia ich się długa forma na czterech nóżkach w cztery strony świata biegnących: to zajac; przy nim nieforemna bryła przedstawiać ma batman mięsa (sześć funtów). Dalej sypie się w pyłek ser owczy, a za nim wyciąga się cudownej naiwności ryba.

Gdy przypadkiem pozwałam sobie wątpić o jakimś zakupie, Abdullah podaje mi swe hieroglify, godne uwiecznienia na jakim obelisku, bym własnoocznie potworność mych podejrzeń sprawdzić mogła. Tę nieocenioną książeczkę przywiozłam z sobą do Europy i zawsze z jednakową przypatruję jej się lubością.

Stanowisko kucharza ze wszech miar jest uprzywilejowane. Pensję pobiera najwyższą (30—35 franków miesięcznie), zjawia się najpóźniej, gdyż, muszę dodać, iż służący wogóle nie mieszkają w domu swych chlebodawców. Wszystko to ma żony, dzieci i własne chałupki, więc na noc do siebie wraca. Tylko biedne karauły obowiązane są sypiać przy domu i strzedz bezpieczeństwa i całości jego mieszkańców, rozkładają więc barłogi swe w bramie lub w stajni.

Kucharz zjawia się między 9-tą i 11-tą i odchodzi po śniadaniu około 2-iej, aby znów powró-

cić między 3 i 4 godziną wieczorem. Tyranizuje karaulów, któremi wciąż się posługuje, posyłając ich po chleb, po lód, po węgiel, po rzeczy, na których nie lub bardzo mało się zarabia, każe im zmywać i pokrzykuje na nich ustawicznie.

Na innych służących władza jego już się nie rozciąga. Ci są panami mieszkania i utrzymują w niem możliwie największy nieład. Słaniają się po domu, powłócząc zlekka po dywanach miotełką z suchych gałązek, lub niedbale powiewając jak sztandarem ściereczką od kurzu, muskają nią meble i drobiazgi.

Nie zaznałam chwili spokoju co do czystości naczyń domowych od dnia, w którym zobaczyłam perlę służących, melancholijnego Abbasa, czyszczącego wraz z karaulami samowar i rądle w gęstzielonej wodzie basenu, w której kilkadziesiąt osób dziennie zanurza brudne ręce, sądząc, że je w taki sposób myje.

Biedny mój Abbas! Cwiczyła się na nim nieubłaganie werwa naszych przyjaciół i nasz własny dowcip; rozweselał mi nieraz chwile smutku i nudy. I dziś wystarcza mi przypomnieć sobie pochyloną boleśnie na bok głowę, z kropelką, wiszącą stale na końcu pałkowatego nosa, usta, gapiowato otwarte, całą tę ogłupioną postać zaspanego muła, ażeby się ubawić wesoło.

W parę dni po przybyciu do Teheranu najęłam tego niedołęgę, świeżo przybyłego z Tebrysu, nie umiejącego słowa po persku, ani po turecku, beł-

koczącego tak, że na dziesięć wyrazów jeden zaledwie można było zrozumieć, i zachowałam go aż do dnia mego wyjazdu z Persyi.

Z początku trzymałam go z litości, taki mi się zdawał bezradny, nieudolny do niczego i nędzny... jak psy i dzieci Wschodu. Później przyzwyczaiłam się doń, jak do niewygodnego, lecz dawno posiadanego sprzętu.

Jednakże w krótkim bardzo czasie przekonałam się, że mój Abbas nie jest bynajmniej bezradny, ale że wcale przywoity procent pobiera na zakupach, których przywilej pozostawia mu kucharz, i sztukę obdzierania nas posiadał na równi z innymi doskonale. Lecz nigdy niczego w domu nie ruszy. Pieniądze mogą leżeć na wierzchu, a szafy stać otworem. Zwyczajna kradzież, ten uproszczony sposób przyswajania sobie cudzego dobra, nie jest ani w charakterze jego, ani służby perskiej i Persów wogóle.

Oszukiwać? Tak, dopóki można, dopóki ofiara się nie spostrzeże. Kraść? Nie... Tego nie uznają. Domy perskie nie są wcale przeciw złodziejom i rzezimieszkom zabezpieczone, a jednakże kradzieże są niemal nieznanne.

Abbas, zbogaciwszy się, zaczyna nabierać namiętności do stroju. Widząc na służących wszystkich naszych znajomych wyszamerowane i wyłoczone mundury generalskie, kupuje sobie mundur pułkownika, a jednocześnie prześliczny kostyum *frengi*,



który nosi od wielkich uroczystości: czekoladowy króciutki żakiet, którego wcięcie przypada w środku pleców, i wążkie spodenki, kręjące się grajcar-kowato na nogach. Na ten kostyum nikt z nas nie jest w stanie patrzeć bez homerycznych wybuchów śmiechu; Abbas przyjmuje te niewłaściwe przejawy wesołości ze spokojem i pogodą umysłu filozofa.

Abbas ma jedną oplakaną wadę. Wyobraził sobie widocznie, że jak członkowie sławetnej korporacji karaulów, majątek swój powiększy szybciej, zajmując się lichwą i za ofiarę takowej nas chce wybrać. Nie mogę posłać go z mego pokoju do gabinetu męża po pieniądze, by mi w tej chwili nie proponował pożyczki.

Przechyla swoją osłupiałą głowę więcej jeszcze na bok i bełkocze, jak gdyby miał usta pełne wody:

— *Hanum. men pul durem. Lazem est? 1)*

Czasem rozwesela nas ta jego mania pożyczkowa, lecz chwilami doprowadza do wściekłości. I pewnego razu posyłam go ze wsi do męża do Teheranu, a on znów rozpoczyna:

— *Hanum, czenta pul lazem est? Men pul dorem 2).*

---

1) Hanum, ja mam pieniądze. Czy ci potrzebne?

2) Hanum, wiele potrzeba pieniędzy? Ja mam pieniądze.

Wykrzykuję mu w irytacji:

— Głupi jesteś! Masz mi przywieźć od pana sto tomanów (500 franków).

Abbas odpowiada dumnie:

— Ja mam sto tomanów! Ja mam więcej!

Przyszedł bez grosza, jest u nas od 15-tu miesięcy, a pobiera 25 franków miesięcznie. Imponuje mi naiwnością i pogodą, żadnym wyrzutem sumienia niezakłóconą, z jaką przyznaje się do swych łupiestw!

Jednak i Abbas, i Jahu Armeńczyk, mistrz nad mistrzami w sztuce przywłaszczania sobie cudzego dobra, i cała ta czereda próżniaków, stanowiąca służbę perską, przywiązuje się szczerze do swych państw *frengi*, czy Persów; trudno też zachować o nich złe wspomnienie.

Nie zapomnę nigdy, że kiedy parokrotnie byłam ciężko chora, biedny mój, niedołężny Abbas z własnej inicjatywy rozkłada na noc swe szmaty pod oknem (Abbas sypia w domu), ażeby na wszelki wypadek pośpieszyć mi z pomocą; że ten próżniak, który zwykle pół dnia drzemie i wszystko robi usypiając, wślizguje się, jak cichy cień do pokoju już o 5-ej zrana, przynosząc świeży lód (wiedział, że na niego czekałam z upragnieniem) i wrzący samowar.

Około godziny 10-tej cała służba przychodzi codziennie dowiedzieć się o moje zdrowie.

Cztery postacie ustawiają się rzędem przy progu: Jahu, Abdullah, Abbas i stangret. Głowa



Kuglarz.



Abbasa wisi na boku jak ścięta, czekam tylko, kiedy spadnie z niej *khola*, kropelka drży na nosie, dwie kropelki kręcą się w oczach. Abdullah, krasomówca tej grupy, oświadcza mi niezmiennie głosem pogrzebowym, iż Allah jest wielkim, co zdaje mi się oznaczać w języku prostym, iż stoję u niepożądanego progu wieczności i co oczywiście znakomicie działa na podbudzenie mej odwagi i uspokojenie nerwów. Po onem skonstatowaniu wielkości Wszechpotężnego polecają mnie jego opiece w powodzi *Masz-allah*, *Iusz allah*, *Bes-mellah!* i odchodzą, kiwając żałośnie głowami.

Rozumie się, iż ta codzienna wizyta nie świadczy jeszcze o sile ich uczuć ludzkich. Lecz nie trzeba nawet tym ludziom z natury krzykliwym zalecać zachowywania się spokojnego. W domu panuje grobowa cisza, chodzą wszyscy jak cienie. A co jest najważniejszym, na czas mej choroby zawieszają prawie całkowicie akcyę okradania, uważając, iż nie wypada obdzierać bezbronnych. *Aga* domem się nie zajmuje, bo zbyt po za domem od świtu do zmroku jest zapracowany; hanum, choćby chciała przypilnować, nie może. Więc szlachetnie rezerwują wszelkie łupiestwa na później, na chwilę, gdy hanum będzie mogła się bronić.

Dlatego, jakkolwiek Jahu założył podobno za nasze pieniądze sklepik na ulicy klubu, pięknie prosperujący, jakkolwiek Abbas po roku pobytu u nas chciał mi pożyczyć 500 franków, jakkolwiek kucharz rysuje na swej książeczce różne hierogli-

fy, których postaci konkretnej nie tknęły nigdy nasze usta — szczerze przyznaję, że dobre o nich wszystkich zachowałam i zachowam wspomnienie.

Nie postawiłabym ich kandydatury do nagrody za cnotę i nieposzlakowaną uczciwość, lecz doprawdy, są to sympatyczni rabusie!

#### XIV.

Stosunki europejczyków z Persami. — Obiady u wielkiego wezyra. — Przyjmowanie perskich eksceleńcyj w domach europejskich.

Stosunki towarzyskie europejczyków z Persami są rzadkie i ceremonialne. Wiążą nas z niektórymi z nich dalekie sympatye; zbliżenie się nie następuje. Stoimy na dwóch przeciwnych krańcach myśli i dążeń; ideały nasze są wręcz odmienne. My żyjemy w ciągłej gorączce. Na warsztacie mózgu mamy zawsze mnóstwo przeróżnych kwestyj literackich, filozoficznych i społecznych, absorbujących nas na razie wyłącznie, walczymy wciąż z nowymi wiatrakami. Oni śpią spokojnie na ruinach starej cywilizacji, rządząc się filozofią wypoczynku i kontemplacji. Każdy Pers zdolny byłby przesiedzieć życie nad basenem swego ogrodu, wpatrzony w tajemnice wody, odurzając się narkotykiem kalkanu.

Prawdopodobnie robimy na nich wrażenie pół-



waryatów; oni imponują nam czasem niezmaconym spokojem wobec wszelkich katastrof, kataklizmów, wstrząsających ludzkością, częścią jednak mącą tę niczem niezakłóconą pogodę. Wzajemnie się nie rozumiemy i nie staramy zrozumieć.

Zycie towarzyskie w zupełności tam nie istnieje. Jest to logicznym i naturalnym wynikiem rozdzielenia społeczeństwa na dwie grupy: mężczyzn i kobiet, żyjących, zbierających się i bawiących się oddzielnie. Kobiety perskie z wyższych sfer pragną widoku swych sióstr z Zachodu, choćby dlatego, by módz je zbliżka obejrzeć i przypatrzeć się, jak trzeba nosić mody frangistańskie, które bardzo je pociągają. Lecz niewolno im rewizytować europejek. Nawet biednej Bibi-hanum cywilizowany jej małżonek nie pozwoliłby przestąpić progu domów europejskich: nużby spotkała tam mężczyzn? Nawet córka ministra oświaty, z którego rodziną pozostajemy w ciągłych i bliskich stosunkach, która stale się u mego męża leczy i rozplęwa się w zachwytach nad moją *kuczulu*, zaprasza mnie często, lecz nigdy do mnie nie przychodzi. Przeprasza mnie gorąco i tłumaczy, że nie może, obyczaj nie pozwala; wszyscyby się na nią obruszyli.

Pozostają stosunki z mężczyznami. Tym wolno zarówno przyjmować europejczyków, jak i u europejczyków bywać. Wielki wezyr wydaje parę razy do roku obiady, na które zaprasza jedynie i wyłącznie członków koła dyplomatycznego wraz z ich

żonami. Obiady te w pewnej części personelu dyplomatyczno-konsularnego są powodem wielkich agitacyj i większych jeszcze tragedyj. Kwestya miejsca, jakie mogą zajmować przy stole panowie Y. i Z. i ich małżonki szeroko jest omawiana przez całą kolonię. Protokół bowiem nie we wszystkich punktach jest jasnym, w niektórych nawet uporczywie milczy, lub też pozostawia pole dowolnym interpretacyom. A od miejsca, które przysądzonem będzie u stołu wielkiego wezyra panu X. lub panu Y. zależy niemal w pojęciu interesowanych honor i karyera męża i egzystencya żony.

Na moje szczęście, nie bywam na tych obiadach, na nieszczęście jednak, jestem powiernicą dwóch dam, których mężowie, a więc i one, rywalizują o jedno i toż samo miejsce przy stole. Kto w dwóch tych rodzinach nie chce mieć wrogów, nie powinien ich nigdy zapraszać razem. Lecz czasem niepodobna tego uniknąć. Ja sama zmuszona byłam kilkakrotnie przyjmować ich jednocześnie. Sądzą męża jednej z prawej strony koło siebie, żonę drugiego z prawej strony mego męża. Zdaje mi się to najlepszem rozstrzygnięciem kwestyi. Nieprawda, obie pary nic nie jedzą i zatruwają humor całego zgromadzenia swemi grobowemi minami.

Po pierwszym obiedzie, który odbył się u Sadrah-azam'a (wielkiego wezyra) za czasów mojej w Teheranie bytności jedna z tych moich przyjaciółek zjawia się u mnie już o 10-ej zrana, rozpromieniona, szczęśliwa, wesoła.

— Cudowny dziś poranek! Możebyśmy przeszły się nieco. Chodźmy do ogrodu Sadrach-azama rwać fiołki, dobrze?

Widzę, że zwyciężyła wczoraj i chce lubować się jeszcze swem zwycięstwem.

— Pani S. prawdopodobnie dziś leży; nie będzie mogła przyjść zanudzać panią swemi żalami. Zielona była wczoraj z rozpaczy, nie miała nawet siły wdzięczyć się do ekscelencyi, przy której ją posadzono, i opowiadać o wielkich aliansach swej rodziny. Myślałam, że się rozpłaczę, żal mi jej nawet było! Ale trudno, sprawiedliwość przedewszystkiem! nam się należało pierwszeństwo. I czy wie pani, że intrygowali oboje przed obiadem, kokietowali Szeik Mohammeda, by dowiedzieć się o porządku miejsc przy stole.

Szeik Mohammed to faworyt Sadrach-azama, młoda nadzieja kraju, przyszły minister, doktorek, który tak pięknie wystukuje na fortepianie jednym palcem.

Po śniadaniu zjawia się moja druga przyjaciółka zgnębiona, przybladła, zmizerowana. Pytam jej się naiwnie, czy dobrze bawiła się u Sadrach-azama.

— Jakto, nie pani jeszcze nie wie? posadzili ich przed nami. Gdybyśmy przypuszczać mogli, że spotka nas taki afront, nie poszlibyśmy na ten obiad. Nie chcę mówić źle o naszym ministrze, lecz jego obowiązkiem było stanowczo temu się sprzeciwić: wszak to od niego tylko zależało. Nie, to przecho-



dzi granice wszystkiego. Nie pozwolimy sobie tak wobec innych legacyj ubliżyć. Mąż mój został tu przysłany ze specjalną misją. A ten, dragoman jakiś, który karierę życiową skończy na konsulacie!

W głosie brzmi bezgraniczna, niewypowiedziana pogarda.

— Okropne jest, doprawdy, to dopuszczanie ciała konsularnego do oficjalnych dyplomatycznych przyjęć. Powinno się tych ludzi trzymać zdaleka. Czyż oni są z naszego towarzystwa?

Łzy wytryskują jej strumieniem z oczu. W głębi duszy jakkolwiek zwykle biorę w życiu stronę pokrzywdzonych i współczuję wszelkim cierpieniom, szczerze mnie cieszy w tym wypadku zwycięstwo mej przyjaciółki nr. 1-szy.

Choć zarażona ogólną próżnością kółka, jest sprytna, inteligentna, dowcipna, ma dość szerokie poglądy i naturę dużo szlachetniejszą od numeru 2-go, obdarzonego umysłem ciasnym i sercem oschłym. Sądzę, że łzy, które wylewa przez okrutnego Sadrach-azama, są może jednymi z pierwszych, jakie troski życiowe przywołały jej do oczu.

Ofiara losu i niezbadanych tajemnic protokołu idzie płakać dalej.

— Ale to tak się nie skończy!—dodaje rozgoryczkowana, żegnając się z nami. — Mąż mój zanieś skargę do ministerjum; ta kwestya musi być rozstrzygnięta, bo dłużej na takie obelgi narażeni być nie chcemy. Przyjdziecie do nas dziś na obiad, dobrze? Wy tylko i najbliżsi przyjaciele

z naszej legacyi. Odczytamy razem podanie męża do ministerjum; wyślemy je pojutrze przez walisę. *Tant pis*, jeśli się ministrowi nie podoba!

Ministerjum, zainterpelowane w kwestyi tak niesłychanej wagi, daje po czterech miesiącach odpowiedź godną Pityi greckiej. Nikt tych zawikłanych okresów i konsyderacyj wszelkiego rodzaju zrozumieć nie może. Obiedwie strony tłómaczą je na swoją korzyść, obiedwie tryumfują i obnoszą po kolonii to arcydzieło oficjalnej mądrości, napawając błogością wszystkie złośliwe dusze, urozmaicając monotonię *jourfix*ów i... wyczekując niecierpliwie przyszłego obiadu u Sadrach-azama.

— Bo rozumie się, my teraz będziemy pierwsi. Jasnym to jest z odpowiedzi ministra.

— Nie wątpi chyba pani, że nas przed nimi posadzą. Inaczej odpowiedzi ministra zrozumieć nie można.

Oto obiady u wielkiego wezyra i ich skutki.

Tenże wielki wezyr i ministrowie bywają na oficjalnych obiadach i przyjęciach u europejczyków. Udają, że słuchają z przejęciem koncertu, szczerze śmieją się z komedyj Labiche'a, w których przeważa element łatwej i dla wszystkich umysłów dostępnej farsy, lecz najlepiej bawią się przy zielonym stoliku. Persowie uprawiają namiętnie grę w karty; sprawiedliwość nakazuje mi niestety dodać, że również namiętnie i naiwnie przy grze oszukują. Gdy przypadkiem przegrają, nie śpieszą się z zapłatą, uważając, jak nieoceniony prefekt policyi Aten, o którym opowiada About w swej *Grece con-*

*temporaïne*, że gdy nie można sobie oszczędzić przykrości przegrania, należy choć unikać bólu uiszczenia się z długu. Unikają go więc troskliwie. Nie mówię, rozumie się, o paru największych potęgach Iranu, o wielkich wezyrach, ani pierwszych ministrach... lecz nie bardzo od nich oddalać się trzeba i nie daleko od nich szukać nieuiszczalnych partnerów wista w lub pokera.

Te pierwsze ekscellencje Persyi przyjmują u siebie z wykwintem europejskim, sami umieją jeść po europejsku. Nie przysięgłabym, że to bardzo lubią. Jestem nawet niezłomnie przekonana, że smatek chleba w trąbkę zwinięty uważają za znacznie dogodniejszy od wszelkich łyżek i innych komplikacyj nakrycia.

Wszyscy ci dygnitarze prawie mówią dość poprawnie po francusku, czasem po niemiecku lub angielsku. Na parogodzinną pogawędkę przy stole nie są, *ma foi*, więcej od wielu „ludzi Zachodu” nudni, ani męczący. Trzeba ich tylko zbyt często tytułować. Są ekscelencyami, a próżność ich nie lubi, ażeby o tem zapominać, słodki wyraz mile głaszczcie ich po sercu.

Gdy mam u siebie jednocześnie przyjaciółkę nr. 2-gi i jakiego perskiego dostojnika, mogę oszczędzić sobie trudu mozolnego wykrztuszania ekscelencyi. Przyjaciółka mnie wyręcza; w każdym zdaniu zdąży kilka razy umieścić lube duszy Persa dzwięki:

— *Certainement, Excellence! Vous ne croiriez pas, Excellence! Comment donc, Excellence.*

Ekscelencja promienieje błogością.



Najprzyjemniejsze wspomnienie z perskich stosunków zachowuję o rodzinie ministra oświaty, Mohbere Dowleh. Wszyscy jego synowie, jak już poprzednio mówiłam, są wychowañcami europejskich uniwersytetów; czytają dużo, prenumerują mnóstwo francuskich oraz niemieckich dzienników i miesięczników. O wszystkim, co nas interesuje w dziedzinie literatury i sztuki, mogą mówić kompetentnie. Najstarszy z nich, Sanieh-el-Dowle, który dostał się kosztownego zaszczytu otrzymania za żonę jednej z córek Muzaffer-eddina, jest prawdziwym uczonym, najwięcej może wszechstronnie i poważnie wykształconym człowiekiem w Persyi.

Sąsiadujemy z nimi bardzo zblizka; wielki ogród, otaczający zabudowania ich birunu i enderumu, rozciąga się nawprost naszych okien, wzdłuż naszej ulicy. Chiarani—Dowleh, synowie i wnucy ministra często do nas zachodzą na długie pogawędki. Uderza mnie drobny jeden, a charakterystyczny szczegół. Gdy tylko moja psina—potworny kulawy Hideux—zaczyna łaścić się do najczęściej nas odwiedzającego średniego syna Khan-Khanum'a, ten człowiek łagodny i dobrze wychowany odpedza go ostro, bojąc się jak ognia dotknięcia zwierzęcia, a to przez przesąd religijny. Zauważyłam również, iż Khan-Khanum, wyszedłszy z berlińskiego uniwersytetu i biegły w różnych naukach ścisłych, kroku bez swego różańca nie robi. Zawzięcie przesuwa jego paciorki, rozprawiając jednocześnie o rzeczach, nie mających nic wspólnego z Mahometem i stoma imionami Allaha. Jeden przykład więcej zewnętrznej hypokryzji religijnej Persów.

Mobbere Dowleh kilka razy do roku przyjmuje u siebie mężczyzn z kolonii dyplomatycznej i profesorów kollegium. Kobiet jakoś nigdy nie zaprasza. Nie wiem, czy sympatyi dla męża, którego starsuszek bardzo lubi, czy też naszym dobrym z całym ich domem stosunkom zawdzięczam zrobienie dla mnie wyjątku i wydanie specjalnego na mą cześć obiadu, który zresztą w niczem nie różni się od wszystkich przyjęć Europejczyków i obiadów u dygnitarzy perskich, na których poprzednio asystowałam. Nakrycia eleganckie, kuchnia wykwinna, wytworne wina; są też i sorbety, lecz nikt ich nie pije, oprócz samego ministra, wyrozumiałego na wszelkie inowacye, lecz wiernie obserwującego dawne obyczaje.

Przypominam sobie pierwszy nasz obiad u konsula w Trebizondzie i za cały napój karafki napełnione słodkim płynem! Jeść baranie kotlety, lub siekaninę z ostrym sosem i popijać to sorbetem! Na szczęście w Teheranie nawet Persi nie wymagają od Europejczyków takich poświęceń. Raczą nas tylko, jako próbkami perskich przysmaków, niezliczoną ilością przedobiadowych zakąsek: grochu, migdałów, orzechów, pistacyi i wszelkich możebnych ziarneczek, suszonych w piecu i obsypanych solą.

Spożywałam już tego dużo i zasmakowałam w tem bardzo w drodze z Tebrysu do Teheranu. Persowie popijają to zwykle czystem „raki'”).

---

1) Wódka ryżowa.

Nie przypominam sobie, czy mówiłam już, że wszyscy Persowie, biedni czy bogaci, namiętnie jedzą surowe ogórki, nie zadając sobie, rozumie się, trudu obierania takowych. Zajadają też surowe śliweczki, które otrząsają z drzew, gdy zupełnie jeszcze są zielone, śliweczki gorzkie i kwaśne nad wyraz. Sprzedają je nawet w bazarze... Nie potrzebuję dodawać, iż parę szklanek „raki” kończy najczęściej śliwkową ucztę.

O ile stosunki z cywilizowanymi Persami mogą być nawet przyjemne, o tyle rozpacziwą jest konieczność przyjmowania u siebie różnych na pół dzikich eksceleńcyj.

W parę miesięcy po wstąpieniu na tron Muzafer - Eddina mąż mój zmuszony był zaprosić dwóch takich świeżo przez nowego monarchę upieczonych dostojników. Nazwiska mieli ci dygnitarze nieskończone. Gdy mówię nazwiska, właściwiej byłoby powiedzieć tytuły, gdyż nazwiska są tu wynalazkiem nieznanym; istnieją tylko imiona i tytuły, a niektóre z tych ostatnich tak niepomiernej długości, że uczyć się ich trzeba mozolnie.

Kiedy zgromadzi się kilku panów, z których jeden nazywa się Hadzi-Zejnal-Abbedin-Khan-Moil-ol-Atteba, drugi Mirza-Seid-Ahmed-Nasrul-Ateba, trzeci inaczej jeszcze, nadzwyczaj trudno cudzoziemcowi znaleźć w tem imię i wiedzieć, co jest tytułem.

Dwie grube, tłuszczem lśniące postacie, wyglądające na rzeźników, przybywają w otoczeniu pół tuzina sług na godzinę przynajmniej przed chwilą na obiad oznaczoną. Po francusku nie mówią



wcale. Ja zaś po persku umiem się porozumiewać z kucharzem, który mówi: „Hanum, emruz mihurym<sup>1)</sup> petits pois, rol-au rent, roti, crem” (wszystkie nazwy pokarmów znają po francusku). Ja odpowiadam „Bechter est<sup>2)</sup> poulet, timbale, asperges”—i rozmowa skończona. Umieć też kazać słuzącemu iść za drzwi, lub nazwać go złodziejem. Są to ostateczne kresy mej elokwencyi, a taką rozmową bawić ekscelencyj nie mogę. A oni, jakkolwiek dzicy, czują, że powinni ze mną głównie konwersować. Zastępuję brak słów uśmiechami, lecz ekscelencye nudzą się trochę, ja szalenie.

Ekscelencye jeść nie umieją. Poca się i cierpią katusze, skazani na używanie łyżki, noża i widelca. Z zupą jakoś jeszcze idzie. Lecz ryba, lecz mięsa! Dostojnicy mają odwagę swego niedołęstwa. Męczą się, by trudność przewyciężyć, lecz przyznają się szczerze, iż nakrycia nie często dotąd komplikowały naturalną swobodę ich ruchów. Nie potrzebują tego mówi!

Abbas, przy progu stojący, boleśnie i pogardliwie patrzy na ich niedołęstwo, rzucając mi spojżenia, iskrzące dumą i tryumfem. On inaczej od nich umiałby zachować się przy stole europejskim.

Pod koniec obiadu jeden z dygnitarzy dostaje czkawki, lecz zupełnie nie zażenowany tą drobną a naturalną dolegliwością, dobrotliwie i pobła-

---

<sup>1)</sup> Hanum—dziś zrobię.

<sup>2)</sup> Lepiej jest.

źliwie uśmiecha się do mnie i do „kuczulu,” z którą zawiązał długą rozmowę.

Dygnitarze przyszli o 6-ej, odchodzą o 2-ej w nocy. Upadamy ze zmęczenia. Wszyscy europejscy goście odchodzą, by zmusić ich do opuszczenia miejsca. Napróżno, daremnie! Ekscelencye, rozsiadłe w fotelach, błogo przetrawiają przejeżdżenie.

Boże, uchroni mnie na przyszłość od dzikich ekscelencyj.

## XV.

Wieś Tedźryszu.—Droga powrotna.—Kasbin, Mazreh-Kahrzan, Pa-czinar-Mendżil, Rustem-Abbad.—Kudum.—Las Gilanu. — Reszt.

20-go września. Jutro wyjeżdżamy. Czepiają mnie się pod tem skwarnem niebem wszystkie choroby, febry i gorączki; klimat, nielitościwie suchy, wycieńcza niesłychanie. Zdaje mi się codziennie, że żyć zaczynam dopiero wieczorem, gdy od gór chłód zawieje i cienie przymraczają słońce. Wprawdzie takich ofiar tego słońca jest zaledwie parę w naszej kolonii; wszyscy europejczycy aklimatyzują się tu doskonale; dzieci wyglądają jak pączki różane, rosną i rozwijają się świetnie.

Lecz i ja, mimo, iż ledwie na nogach się trzymam, z żalem opuszczam ziemię światła i przeczysztych szafirów nieba, i wieś Tedźryszu<sup>1)</sup>), zwykłą

---

<sup>1)</sup> Europejczycy zamieszkują latem trzy wsie Szymranu, Gulahek, pierwsza z nich i najbliższa miasta, należy do legacyi angielskiej; druga — Zergendeh do legacyi rosyjskiej; trzecia — Tedźrysz, najdalej w górach położona i o 15 kilometrów od miasta odległa, zamieszkiwana jest przeważnie przez Francuzów.





Teheran — walka baranów.

całej kolonii francuskiej letnią rezydencją, wioszczyne o nędznych błotnistych chałupkach i wielkich zacienionych ogrodach, w których sączą się strumyki źródlanej wody.

Mój dom w Tedźryszu. Cztery brzydkie izby, całe we drzwiach szklanych. Lecz z bolakhaneh mam widok przepiękny. Ściana okien patrzy na ogród dziki, wielki, zapuszczony; drzewa owocowe i winograd kryją się pomiędzy platanami, topolami i jujubami; granaty roztwierają gorące, krwawe kielichy. Trawa zarasta drogi i ścieżki, wytryskują z niej krzaki lilij czerwonych. Ogród to bez muru, bez żadnej od włóczęgów, rabusiów i złodziejów ochrony; nie należy ich się jednak obawiać, ani strzedz przed nimi w miastach i wsiach Persyi.

Za ogrodem idzie drugi ogród, za drugim trzeci, cały szereg ogrodów; wszystkie biegną ku łańcuchowi Elbursu, ostatni u stóp gór się ściele. Dalekie wierzchołki iskrzą się brylantami śniegów, wiją się po nich strumienie wężowatą wstęgą roztopionego srebra; w słońcu mieni się turkusowa kopuła meczetu, zawieszzonego w kępie zieleni na stromym stoku góry; mała wioszczyna tuli się do świętego przybytku. Stada owiec znaczą się ciemną, ruchomą, falującą plamą; w kryształowo przezroczystem powietrzu każde drzewo, każda ścieżka, każdy załam gór i cień każdy rysują się tak wyraźnie, jak gdyby te góry tuż przy nas, tuż za ogrodem były.

W ogrodzie, pomiędzy drzewami, wieśniacy, dom ten nam odnajmujący, rozłożyli namiot, a naokół niego całe swe gospodarstwo; wygląda to na obozowisko cygańskie. Na fajerce drzewnego wę-

gła warzy się ryż w zadymionym kociołku, półnagie dzieciaki tarzają się w trawie, „hanum,” zapatrzona w przestrzeń, w niemem osłupieniu raz po raz zaciąga się kalianem. Co kilka dni któryś z małych nagusów przynosi mi, jako „piskiesz,” kobiałkę, uplecioną z łoży, pełną moich własnych śliwek, winogron lub gruszek. Kosztuje mnie to regularnie krana, bo nie można nie dać srebrnej monety, gdy w tak uprzejmy i pełen wdzięku sposób wieśniacy podnoszą i bez tego już bardzo wygórowaną cenę letnich mieszkań.

Jutro daleko będę od wsi Szymranu, od dróg górskich, na których codziennie odbywam konne przejażdżki, dróg szeleszczących topolami, wysrebrzonych jujubami, jasnych, świetlnych, wesołych.

Wszystkiego mi żal: płaczących modlitw muezinów i tych dziwnych śpiewów innych zawodzących, które tu na wsi zwiastują południe i derwiszów, przemawiających pięknie i poufale, zwących Europejczyków, jak dawnych znajomych, „hanum hakime czeszń” <sup>1)</sup>, „wazir mukhtar inglisz” <sup>2)</sup>, każdego wedle jego tytułu i godności. Żal mi wsi i żal mi miasta; żal całego tego nienaruszonego jeszcze przez naszą cywilizację zakątka Wschodu.

21-go września. Wyjeżdżamy z Tedźryszu o 5-jej zrana. Dzień dzisiejszy spędzimy w mieście, nocą wyruszamy ku Kazbinowi, Resztowi i morzu Kaspjskiemu.

<sup>1)</sup> Żona okulisty.

<sup>2)</sup> Ministrze angielski.



Ostatni wieczór w gronie najbliższych przyjaciół spędzamy u doktora Tolozana, ulubieńca i przyjaciela Nasr-Eddina, przy którym pół życia przebył. Dwukrotnie powracał był do Europy, dwukrotnie nostalgia za Persją i królem z powrotem go tu przyciągała. 70-letni starzec ma umysł tak żywy i otwarty, wykształcenie tak wszechchronne, że gawęda z nim jest jedną z najprzyjemniejszych rozrywek, jakie w Teheranie znaleźć można. Sceptyczny a wyrozumiały filozof patrzy na świat, życie i ludzi z wysokości 70-ciu lat mądrego doświadczenia, z pewną pogardą i z wielką pogodą i pobłażliwością <sup>1)</sup>).

..... Znów niesie nas pocztowa karetka o przybrukanych szafirowych atłasach. Dawny pewnie pojazd monarszego enderumu, który obwoził po mieście i okolicach nudę jakiej pięknej hanum. Powóz z hałasem toczy się po kamienistej „Chiarani Lalazar” (ulica Tolozana, lub ulica klubu), przejeżdżamy Majdani-Tophaneh; słońca Iranu i wojacy z majoliki o groźnie nastroszonych wąsach patrzą na mnie po raz ostatni z murów arsenału. Przy bramie Kazbińskiej, którą odryglowują ze zgrzytem i hałasem ciężkich zawias, zatrzymują nas na półgodzinne jakieś wyjaśnienia czerwono umundurowane karauły.

Już wyjechaliśmy z miasta. Na prawo rysuje się łańcuch Elbursu, biegnący ku Kazbinowi; góry stoją ciche i tajemnicze, ubrane przez zalewające krajobraz promienie księżyca w fantastyczne cienie

<sup>1)</sup> Doktor Tolozan zmarł przed dwoma laty.

i blaski. Mijamy szybko „czapar'-khaneh,” dzie-  
sięć minut, kwadrans najwyżej w nich się zatrzy-  
mując.

22-go września pod wieczór jesteśmy w da-  
wnej stolicy szacha Tamaspa, w Kazbinie, z które-  
go przed dwoma niespełna laty dążyliśmy w noc  
wigilijną do Teheranu. Tu nas czekają służący,  
wysłani przed dwoma dniami z końmi wierzchowe-  
mi, dalszą bowiem drogę odbywać trzeba konno.  
Juczne bydłeta z bagażami wyruszyły z Teheranu  
jeszcze wcześniej i robić muszą poważne etapy, by  
na 27-go stanąć w Reszcie, zkąd przeprowimy się  
do Fuzeli, portu morza Kaspijskiego, a dalej po-  
dążymy statkiem do Baku lub Petrowska.

Dojeżdżam do Kazbina w stanie tak opłaka-  
nym, że marzyć nawet nie można o wyruszeniu da-  
lej na noc. Zdaje się też niepodobnem, bym mo-  
gła się utrzymać na koniu. Więc wyprawiamy ko-  
nie do następnej stacyi pocztowej, wioski Aga-Ba-  
ba, do której droga o tyle jest jeszcze znośna, że  
niektórzy podróżnicy odważają się odbywać ją  
w karecie lub faetonie. Pójdziemy za ich śladem.

23-go września. Wyruszamy wczesnym rankiem.  
Droga na pozór niezła; biegnie przez monotonną, smu-  
tną, nagą, zlekka falującą płaszczynę, która wio-  
sną przedstawia prawdopodobnie wesoły i miły za-  
kątek starannie uprawnej ziemi, gdyż mnóstwo ka-  
nałów przerzyna pola. Lecz teraz zbiory już zro-  
bione; widać tylko, jak daleko sięgnąć okiem, prze-  
palone przez słońce ścierniska i ugory.

Jedziemy już tak może dwie, może trzy go-  
dziny, gdy nagły trząsk i hałas oznajmiają jakąś

katastrofę. Złamała się oś powozu. Jesteśmy w czystym polu równie daleko od Kazbinu, jak od Aga-Baby, nikogo na drodze nie widać. Dobra godzina mija, jedzie wreszcie jakiś dallal w stronę Kazbina. Zachęcony hojnym piszkieszem, zawraca do Aga-Baby, by sprowadzić naszych służących i konie. Dallal ma dobrego osiełka i pędzi szybko; po trzygodzinnem bezradnem wyczekiwaniu pod słońcem, która zwolna nas roztapia, widzimy wreszcie nasze konie.

Wczoraj straciliśmy pół dnia, dzisiaj kilka godzin; trzeba będzie robić podwójne etapy; statek nie czeka. Nie zatrzymujemy się więc w Aga-Baba, gdzie mieliśmy wypocząć w południe. Dziwnie wygląda ta wioska, ogrodzona murem błotnym, a której domy tak są do siebie zbliżone, że z „bala-khaneh” z jednego na drugi przechodzić można i spacerować po dachach, jak po równej drodze.

Minąwszy tę osadę, zaczynamy piąć się w górę. Następną stacya pocztowa Mazreh jest już prawie u stóp Elbrusu. Zbiór to nędznych i brudnych lepianek. W czaparkhanch (dom pocztowy) dymno, duszno i przeraźliwie smrodno; oddychać niepodobna. Wychodzę przed dom i znajduję przyczynę zatrutego powietrza: o kilka kroków odedrzwi przy bocznej ścianie gnije koń zdechły, nad którym krążą czarne chmury much i mustyków; poszarpane to już przytem przez różnych drapieźników, żądnych padliny. Musimy się tu, niestety, zatrzymać chwilę, aby dać wypocząć koniom, bo następną stacya daleko, lecz rozkładamy manatki na trawie o paręset metrów od czaparau.



Teraz już wyjeżdżamy w góry Elbursu i pniemy się po stromych ścieżkach, równie okropnych, równie niebezpiecznych, równie zarzuconych kamieniami i pełnych wybojów, jak drogi gór Małej Azji. A jest to przecież niby trakt pocztowy; tędy przybywają do Persyi wszyscy Europejczycy. Od roku pracuje tu gorliwie nad reperacyami i ulepszeniami jakieś towarzystwo belgijskie, czy niemieckie; zdaje mi się jednak, iż tych ulepszeń nie odkryłby najdokładniejszy mikroskop.

Dotarłszy do najwyższego punktu tej części Elbursu, zwanego wąwozem Kharzanu, stajemy na chwilę, by okiem ogarnąć krajobraz. Ostatni to szczyt, z którego dojrzeć możemy płaskowzgórze Iranu. Tam daleko Kazbin, opuszczony dziś zrana, znaczy się ciemną plamą; na zachód od niego potężny wierzchołek Tronu Salomona (4,800 metrów) iskrzy się w bieli śniegów srebrzystych, na wschodzie Sawalan (4,400 metrów), jeden z legendowych przytułków arki, na południu łańcuch gór Karaganu zamyka horyzont siną linią falujących wzgórzy.

Ledwie minęliśmy wąwóz Kharzanu, wchodzimy w jakąś szczelinę, w której chwyta nas z wściekłą siłą wiatr tak zimny i tak przejmujący, iż mrozi poprzez pośpiesznie nałożone okrycia. Kapelusze mego maleństwa, które jedzie konno ze służącym, siedzącym z tyłu, leci w przepaść, szczęściem, iż w podręcznych walizkach są inne. Wicher dmie i wyje z szalonym impetem, oddech tłumi i mowę tamuje. Nie darmo nazywają tę szczelinę „wąwo-

zem siedmiu wiatrów.” Jest jeden tylko, lecz za kilka wystarczy!

Nagle nowy załam drogi i wiatru już ani sła-du, cisza powietrza niczem niezmacona; od skał nagranych przez słońce dyszy żar ciężki, choć noc już zapada.

Kharzan, nowa stacya, gdzie powinniśmy zano-cować, lecz gdzie zmieniamy tylko konie pod ba-gaże. Jest to maleńka góraska osada, równie bie-dna i brudna, jak Mazreh. Ma tylko olbrzymi ka-rawanseraj, nie zbyt jeszcze zniszczony. Nie po-trzebuję dodawać, iż słudzy i czerwadarzy mówią mi, wskazując nań z pobożnem przejęciem:

— To zbudował Szah-Abbas!

Jest coś wzruszającego w kulcie tego narodu dla wielkiego króla, którego imię opromienia im chwałą wieki minione i przypomina, że mieli histo-ryę i przeszłość, wielkich wojowników i wielkich monarchów. Dlatego też, jakkolwiek Persowie czę-sto bywają dzicy, zawsze próżni i zawsze kłamliwi, wszyscy jednakże okazują w pewnych chwilach i w pewnych okolicznościach godność i szlache-tność obejścia, która nieświadomemu nawet ich dzie-jów pokazuje dowodnie, iż muszą mieć za sobą tra-dycyę, historyę i wieki niezależnego istnienia po-litycznego.

Choć noc już zapadła, nie zatrzymujemy się w karawanseraju Szacha-Abbasa, z którego wycho-dzi, dążąc do Teheranu, nieskończona karawana mu-lów i osłów. Dzień to chyba najstraszniejszego dla mnie zmęczenia; cudem nadludzkich wysiłków i po-

tężnych doz eteru trzymam się na koniu. Najgorszą część drogi przebywamy teraz nocą; na szczęście towarzyszy nam pełnia księżycowa. Jasno jest, jak we dnie; srebrne blaski kładą się na górach, które muszą się mienić w słońcu wszystkimi kolorami tęczy, takie bogactwa mineralne kryją, w takie nieprawdopodobne, a prawdziwe jednak przybierają się barwy. Jedne niebieskie, drugie purpurowe, dalej żółte i białe, nie widzę już tych, które leżą na dalszym planie. Góry piękne, w których chciałoby się szukać pałaców z bajki czarodziejskiego Sezamu, otwierającego skarby swych wnętrzy oślepionym wspaniałością ich przybytków oczom.

Lecz jaka oplakana droga! W dół się teraz spuszcza po ścieżkach prawie prostopadłych, po których pną się może z łatwością kozły skalne i giemy, lecz na których ludziom i koniom utrzymać równowagę nie łatwo. Raz po raz z pod stopy zwierzęcia kamień stacza się w przepaść. Czerwagarzy zmuszają nas do zejścia z koni w ponurym wąwozie, po którym przed wiekami chodził chyba gniew boży, nad którym szalały kataklizmy, wyrwijając z posad skały, łamiąc je i druzgocząc.

Idziemy parę godzin po tych obłamach kamieni, upadam kilka razy, daleko lepiej byłoby mi na koniu. Wreszcie widzę dachy wioszczyny, to Pa-czinar, stacya, w której wypoczniemy. Oddalony od wioski wznosi się samotny na wzgórzu „czapar-khaneh,” najbrudniejszy i najsmutniejszy z tych, które dają nam przytułek i nocleg podczas tej dro-



gi. W odrapanej i zadymionej izbie balakhaneh, do której wchodzimy po drabiniastych schodkach, stoją dwa tapczany z białego, a raczej z czarnego już drzewa i stół kulawy. Pomimo nieopisanego zmęczenia, nie spoczęłabym na tych tapczanach. Szczęściem, mamy teraz z sobą polowe łóżka. Mustyki kąsają zawzięcie; powietrze tak ciężkie i duszne, że mimo okien otwartych, a właściwie nieistniejących, oka zmrużyć nie można; męczymy się tak do samego ranka.

24-go września. Wyjeżdżamy wcześniej z tego ponurego Pa-czinaru, ażeby skorzystać z chłodnych godzin poranku i dociągnąć przed wieczorem do następnej stacyi, gdzie chcielibyśmy wypocząć wreszcie nieco; przejeżdżamy okropny most, na którym zręczność naszych koni wystawiona jest na ciężką próbę. Jedziemy wzdłuż doliny *Szah-Rudu* (rzeki królewskiej), dopływu *Sefid-rudu* (rzeki białej). Źoże rzeki wyschło prawie, otaczają je krwawą czerwienią fale pagórków i świeża zieleń trzciny i sitowia.

Bez jednej chwili wypoczynku, bez żadnego posiłku spędzamy dziesięć godzin na koniu, galopując często, gdy droga nieco równiejsza; stajemy wreszcie o 4-ej popołudniu w Mendżylu, wiosce, do której dążyliśmy. Nieprzytomna prawie padam na łóżko i usypiam snem tak ciężkim, że nie słyszę burzy, piorunów i grzmotów, które rozszalały się nad górami i wstrząsają ścianami nędznego czaparau.

25-go września. O 5-ej zrana jesteśmy już znów w drodze; przebywamy mozolnie rzucony na *Sefid-rud* słynny na całą Persyę most Mendżylu,

zwany mostem „dwóch wiatrów,” wyje na nim od początku do końca roku szalona wichura; latem idą te huragany wietrzne od morza Kaspijskiego, zimą od przeciwnej strony. Zdejmujemy kapelusze: jest to ostrożność niezbędna, wicher dmie z taką mocą, iż nie dziwię się licznym dość wypadkom, których smutny ten most bywa teatrem.

Krajobraz okolic Mendżylu przedstawia ponury widok zniszczenia i żałoby, góry dziwacznie poszarpane, strome skały, jałowe urwiska. *Sefid-rud* płynie wązkim korytem w szczelinie górskiej, nad którą czepia się droga.

Lecz nieco dalej pejzaż się ożywia; błada, przyćmiona zieleń gajów oliwnych, otaczających szerokim kręgiem wioskę Rudbar, jedyną w Persyi miejscowość, naokoło której zajmują się kulturą oliwek, niewiele daje cienia, lecz choć wzrok rozwesela. Przebywamy tę wioskę pod sklepieniem z mat, pokrywajacem główną jej ulicę, zamienioną w bazar.

Za Rudbarem droga znów oplakana, lecz towarzyszy nam już stale zieloność, góry porastają lasem, w dolinie wije się *Sefid-rud*, a raczej świeci kamieniami wyschłe prawie jego łożysko.

Czwarta stacya pocztowa, w której zatrzymujemy się na noc, *Rustem-abad*, stojące na straży lasów *Gilanu*. Z tych lasów, przesiąkniętych wilgocią, błotnistych, sączących strumienie poprzez gąszcz lian splełanych, podnoszą się niezdrowe wyziewy, robiące z tej prowincyi, roztaczającej podzwrotnikowy przepych roślinności, najniezdrowszy zakątek kraju.

„Jeśli chcesz umrzeć—mówi przysłowie perskie—jedź do Gilanu.” Szerzy się tu febra błotna, której ataki wybuchają ze straszną siłą i nierzadko pripraviają o śmierć, zwłaszcza Europejczyków, mniejszą siłą fizycznej odporności, niż „Gilani”, obdarzonych.

Od dwóch lat nie widziałam lasu; mówiłam już, że środkowa Persya bardzo biednie jest zadrzewioną. I ten potężny wykwit roślinności, który wzrok mój w tym dziewiczym lesie pieści, wprawia mnie w zachwyt. W cieplarnianej, ciężkiej i duszącej atmosferze wyrastają niebotycznie wszystkie drzewa ogrodów i drzewa lasów: figi i granaty; morwy i brzoskwinie, pomarańcze i cytryny rosną tu, jak wiatr je posiał; olbrzymie mimozy i akacje nisko opuszczają gałęzie delikatnych i drżących listków, naokół pni wiją się czerwone pędy winogrodu.

Miejscami, gdy grunt mniej wilgotny, roślinność przerzedza się nieco, zmienia charakter; widzimy dęby, cyprysy, topole, tamaryksy i terebinty, stojące jak wielkie bukiety ciemnej zieleni. Gdzie nigdzie przeświecają dachy osad, ścielą się pola ryżowe i plantacje jedwabników.

Dwa dni podróżujemy przez ten las dziewiczy. Pomiędzy *Dustem-Abbod'em* i *Resztem*, kresem naszej konnej drogi, jedna jeszcze stacya chroni się w lesie Gilanu; jest nią wioska Kudaszu, której czaparkhauch najprzyzwoitszym jest może z przytułków całego tego traktu pocztowego.

27-go września stajemy w Reszcie, stolicy Gi-



lanu. Położenie geograficzne tego miasta, blizkiego zatoki Enzeli, przez którą Persya eksportuje swe produkty do Rosyi, robi zeń ważny punkt handlowy, którego doniosłość wzrośnie jeszcze, gdy linie kolei przerzną Iran we wszystkich kierunkach.

Ma się już pod wieczór, gdy tu docieramy; przejeżdżamy bazar, nie mający innego pokrycia jak maty, rozciągnięte nad korytarzami wązkich i pogmatwanych uliczek. Kucharze bazarowi rozdmuchują ogień pod potężnemi kotłami ryżu; naokoło stoją miseczki kwaśnego mleka i półmiski „torszi”<sup>1)</sup>, piramidy czerwonych jajek i stopy rodzenków nadzianych „kebabami.”

Z Resztu trzeba jechać powozem do wiosczyny Peri-Bazar, położonej u brzegów rzeczki tegoż imienia, a przez rzeczkę i jezioro stojącej wody zwane „Mur-d-ab” (martwa woda) dociera się do zatoki Enzeli.

Nie znam nic oryginalniejszego nad przeprawę przez wody Peri-bazaru. Jesteśmy w pokaznych rozmiarów barce, w której prócz nas i naszych bagaży mieści się jeszcze ze 20-tu wszelkiego rodzaju obdartusów, przewożących towary do Enzeli, wykrzykujących przeraźliwie i nieustannie. Barkę ciągną na sznurach ludzie idący brzegiem; mnóstwo takich barek, w tenże sposób prowadzonych, krąży po rzeczce, wymijając się przy ogłuszających krzykach przewoźników. Rzekę ze stron

---

<sup>1)</sup> Marynaty.

obu otaczają liściaste lasy, piękne, jak lasy gór Gilanu: dojrzewają w nich pomarańcze i granaty, zielenieją wiązy, platany, mimozy, topole.

Gdy z rzeki w jezioro wpływamy, przewoźnicy odrzucają sznury i zaczynają wiosłować. Jest ich sześciu; płyniemy szybko bez najmniejszego wstrząśnienia po gładkiej i niezmaconej fali wód Murd-abu.

Znów gwar, zgiełk, zamieszanie i krzyki nieludzkie; jesteśmy już w zatoce, już wylądowujemy. Szarpia nas tuziny nowych obdartusów, wdzierając sobie nasze bagaże i pędząc z nimi do zajazdu.

Przez otwarte okna izby widzę kołyszący się na morzu spokojnem, sinem i wysrebrzonym w słońcu, okręt kompanii „Cansare et Mercure,” który za kilka godzin daleko nas ztąd ku Europie powiezie.

Pod oknem staje derwisz wędrowny z nastroszoną głową, pałką jak maczuga w ręku i siekierką o dziwacznych rysunkach, zawieszoną na ramieniu. uśmiecha się do mnie życzliwie, wyciągając rękę.

Żal za tym rozświetlonym, a pełnym tak oryginalnego, tak odrębnego wdzięku Iranem, który zachował całą wewnętrzną poezję wieków ubiegłych, w którym oko napawa się czarodziejskimi obrazami życia i natury, niezatarte zostawiającymi wspomnienie, żal ostry i głęboki ściska mi serce w chwili, gdy rzucam srebrną monetę w wyciągniętą rękę derwisza, polecającego mnie łasce Allaha.

Przedemną okręt, choroba morska, Baku, naftą przesiąkniętą, skwarny Tyflis, w kotlinie górskiej uwięzły, potem Kaukaz i kolej przez długie trzy doby... wreszcie nasze widoki, nasza wieś ojczysta, kraj rodzinny, Warszawa i rodzina, której od lat sześciu nie widziałam. Trzeba mi o nich pomyśleć, by smutek z duszy otrząsnąć.

K O N I E C .





## T r e ś ć.

VIII.	Turki i Farsi. — Kurdowie i Bachtyari. — Pare słów o armii. — Wybitne cechy charakteru narodowego. — Uprawa gruntu i przemysł. — Fauna i flora. — Klimat . . . . .	5
IX.	Religia. — Sziici i Sunnici. — Ali, Hassein, Imami. — Mullowie i Muszdeidzi. — Sekty: babiści. — Giebrzy, wielbiciele ognia. — Moharrem, teatr religijny. — Przedstawienia w Takieh . . . . .	25
X.	Obchód Nowego Roku. — Sala tronowa. — Tron Mohammed Szacha. — Uroczystość Salamu. — Dary królewskie: pieniądze, konie, kalaaty — Gościna króla u poddanych. — Ceremoniał dworski. — Święto wielbłąda. . . . .	43
XI.	Główny pałac królewski. — Tron pawia. — Nigari-stan. — Pałac wielkiego wezyra. — Drogi Szimranu i podmiejskie rezydencje szacha. — Doszan-tepe. — Kasz-i-Kadżar. — Eszret-abbat. — Ogród Kameranich. — Czeszmeh-i-aly. — Szach-Abdullazim. — Ruiny Ragesu. . . . .	61
XII.	Rzut oka na stanowisko kobiety w Persyi. — Macierzyństwo i chowanie dzieci. — Eunuchowie. — Bibi-hanum. — Tancerze i tancerki. — Święto Fatmy. — Wizyta u żony Szacha. — Enderum Nasr - Eddina i Muzaffer Eddina. — Poligamia i rozwód . . . . .	81
XIII.	Warunki życia europejczyków w Teheranie — Mieszkania i meble. — Pośpiech poczty. — Rozrywki kolonii europejskiej. — Życie materyalne. — Służba perska. — Moi służący. — Abbas i Abdullah. . . . .	
XIV.	Stosunki europejczyków z Persami. — Obiady u Wielkiego Wezyra. — Przyjmowanie Perskich Ekscelencyj w europejskich domach . . . . .	124
XV.	Wieś Tedżrytzu. — Droga powrotna. — Kasbin, Mazreh, Kahrzan, Pa-czinar - Mendżil, Rustem-Abbad. — Kudum. — Las Gilanu. — Reszt. . . . .	136







\*KSIĘGARNIA\*

ANTYKWARIAT



691703 E

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX



44145



1-2

44146